TAJEMNICE SKARBY KOLEKCJONERSTWO MILITARIA FORTYFIKACJE PRZYGODA

ODKRYWCA

NR 3(9) KWIECIEŃ 1999 ROK II ISSN 1505-6104 CENA 5,00 PLN

w numerze:

Sensacyjne odkrycie w Bożympolu Wielkim

Śladem tajnej listy – Zasieki

Z traktorem na Serwis Łabędzi

Syberyjska przygoda Romka Koperskiego

Sprzęt w poszukiwaniach – geofon

Jacek Przeniosło: Poszukiwacze mają intuicję

LM

Szukam, szukania mi trzeba...

Na okładce: Szaman jakucki ujrzał jasną przyszłość „Odkrywcy” i jego czytelników...
fot. Romuald Koperski
To autentyczny biały szaman jakucki. Według wierzeń Jakutów, ziemia jest płaska, a nad nią po siedmiu niebiańskich orbitach krąży siedmiu najważniejszych, dobrych bogów, z których najwyższy jest Czysty Biały Gospodarz. Głęboko pod ziemią żyje Arsan Duołan – jakucki szatan.
Biały szaman nawiązuje kontakt z dobrymi bogami, dlatego ma moc uzdrawiania. Tylko on może rozmawiać z bogami i cieszy się wielkim autorytetem wśród Jakutów. Kita z włosia białego konia przepędza złego ducha.
O syberyjskiej przygodzie **czytaj na str. 9**

SZUKAM, SZUKANIA MI TRZEBA...

Nazwij to, jak chcesz – ciekawością, niepokojem, wewnętrznym imperatywem. Jakkolwiek nazwiesz, chodzi o to samo: o niewytłumaczalną a przemożną potrzebę szukania – skarbów, sensu, tajemnicy, prawdy, wartości, sposobu na życie... Dopóty żyjesz, dopóki idziesz, szukasz, czekasz, marzysz...

Drodzy Czytelnicy!

Obchodzimy skromny jubileusz. Rok temu, w ostatnich dniach kwietnia 1998, ukazał się numer sygnalny „Odkrywcy”. Dziękujemy, że jesteście z nami. W rocznicowym upominku – dwadzieścia cztery strony (oczywiście – za tę samą cenę). Życzymy miłej lektury.

Jesteśmy Państwu winni wyjaśnienie; podany przez nas w poprzednich numerach **termin IX Międzynarodowego Zlotu Miłośników Eksploracji zmienił się** (patrz – str. 21). Organizatorzy zawiadomili nas o tym dopiero w połowie marca, gdy „Odkrywca” był już wydrukowany. Mamy nadzieję, że mimo to wszyscy, którzy wybierali się na zlot, przyjadą do Spały. My będziemy tam na pewno.

Cieszymy się bardzo, że coraz więcej osób zamawia prenumeratę naszego miesięcznika (zwiększamy nakład) i pragnie skompletować numery archiwalne. Gorąco prosimy: przed wysłaniem przekazu lub wpłaty na konto upewnijcie się Państwo telefonicznie, czy dysponujemy żądanymi numerami (dyżur redakcyjny – wtorek 10.00 - 14.00). Ostatnio informowaliśmy, że nakład „O”, 1 i 2 został wyczerpany i możemy wysyłać tylko kserokopie, natomiast w ciągu tygodnia po ukazaniu się marcowego „Odkrywcy” zabrakło nam również „trójki”, „czwórki” i „siódemki”, a numerów 5 i 6 mamy bardzo mało. Może się poza tym zdarzyć, że będziecie Państwo czekać ponad miesiąc na realizację zamówienia, jeśli dotyczy ono numeru, który nie został jeszcze przez naszych dystrybutorów rozliczony i w związku z tym nie mamy na razie zwrotów. (Tak było np. z „szóstką”.) A zatem – jeden telefon i wszystko jasne.

Dziękujemy za listy, redakcyjna skrzynka – za miesiąc. Tymczasem pragniemy wyjaśnić pewne nieporozumienie. Otóż spotkaliśmy się z zarzutem, że pan X powiedział w opublikowanym przez nas wywiadzie to i to, a potem zamieściliśmy tekst pana Y, który całkowicie zaprzecza twierdzeniom pana X. Drodzy Państwo, pan X – tak jak i wszyscy rozmówcy – ma prawo do swoich poglądów, pan Y może się z nim nie zgadzać, a my mamy nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek zaprezentować obydwa stanowiska, pozostawiając ocenę Czytelnikom. Nikt nie ma patentu na nieomylność, a „Odkrywca” służy właśnie wymianie informacji i opinii. Chętnie zamieścimy każdą rzeczową i kulturalną polemikę.

Serdecznie pozdrawiamy.

Redakcja

ODKRYWCA ISSN 1505-6104
TAJEMNICE SKARBY KOLEKCJONERSTWO MILITARIA FORTYFIKACJE
WŁAŚCICIEL TYTUŁU – WYDAWCA: Wydawnictwo „JMK” – Marek Dudziak, 62-500 Konin, ul. 3 Maja 32
WSPÓŁWŁAŚCICIEL: LM Spółka Akcyjna, 62-510 Konin, ul. Zakładowa 14, tel. (063) 245 63 08, fax (063) 245 63 09, e-mail: bhp@lm.com.pl
ADRES REDAKCJI: 62-500 Konin, ul. 3 Maja 32, tel. (063) 242 82 32, tel./fax 242 82 60; dyżur redakcyjny – wtorek, godz. 10.00 – 14.00
REDAKTOR NACZELNA: Maria Wiatrowska
ZESPÓŁ: Radosław Biczak, Jola Dudziak, Marek Dudziak, Piotr Kurzawa, Kuba Dudziak
WSPÓŁPRACOWNICY DO SPRAW KONTAKTÓW ZAGRANICZNYCH:
Agata Konińska (język francuski), Katarzyna Michalak (język angielski)

Za treść artykułów odpowiadają autorzy. Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą”. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

GDZIE MOŻNA KUPIĆ „ODKRYWCĘ”
W sklepach sieci EMPiK i „KOLPORTER” w całej Polsce.

PRENUMERATA
Przyjmujemy zamówienia na numery od 4/99 do 6/99 włącznie (wszystkie bądź wybrane przez Państwa). Cena jednego egzemplarza wynosi 5 złotych. Należność za wszystkie zamówione numery prosimy przesłać **przekazem pocztowym** pod adresem Wydawnictwa „JMK” (wzór na str. 21). Na odwrocie trzeba koniecznie **wyraźnie zaznaczyć, które numery chcecie Państwo otrzymać.**
Pieniądze można także wpłacić bezpośrednio na konto:
PKO BP o/Konin 10202746-902450-270-1

OFERUJEMY NUMERY ARCHIWALNE
Ukazało się dotąd dziewięć numerów „Odkrywcy” (nie licząc tego, który macie Państwo w rękach) Nakład od „0” do 4/98 został wyczerpany, pozostałymi jeszcze dysponujemy. (Nr 7 w dystrybucji, ewentualne zwroty będą za miesiąc.)
Cena jednego egzemplarza archiwalnego wynosi 5 złotych, kserokopii – także.
Prosimy przesłać należność za zamówione egzemplarze **przekazem pocztowym** (wyraźnie zaznaczyć na odwrocie, o które numery chodzi) lub dokonać wpłaty bezpośrednio **na konto:**
PKO BP o/Konin 10202746-902450-270-1

Można też zamówić archiwalne numery „Odkrywcy” za zaliczeniem pocztowym, ale jest to najmniej korzystne dla Państwa, gdyż koszt takiej przesyłki (znaczny) musimy doliczyć do ceny zamówionych egzemplarzy.
Ponieważ numerów archiwalnych szybko ubywa, **przed wysłaniem zamówienia prosimy upewnić się telefonicznie,** czy nakład nie został wyczerpany. Telefon: (063) 242 82 60 oraz 242 82 32, dyżur redakcyjny – wtorek, godz. 10.00 – 14.00.
UWAGA! Bardzo prosimy o czytelne wypełnianie druków i podawanie pełnych adresów. Nie mając nazwy ulicy, numeru domu i mieszkania – nie możemy wysłać Państwu zamówionego czasopisma. Prosimy też o wyraźne zaznaczenie, które numery Państwo zamawiacie (z podaniem roku; np. nr 6/98).

SZUKAJ Z „ODKRYWCĄ”!

Połączyć wiedzę z intuicją

ROZMOWA Z JACKIEM PRZENIOSŁĄ – DOKTOREM NAUK HISTORYCZNYCH I ARCHEOLOGII

– Prowadził Pan badania archeologiczne w wielu krajach. Które obszary bądź obiekty najbardziej Pana zafascynowały?

– Trudno porównać, dajmy na to, kilka sezonów badań w Kartaginie, na Sycylii, we Włoszech, Francji, w Niemczech, w krajach Lewantu... Trudno nawet porównywać między sobą badania w Polsce – od tak różnych kulturowo epok po obiekty prawie współczesne. Każdy obiekt ma swoją specyfikę, charakter, jest ciekawy i pod różnymi względami frapujący. Tego się po prostu nie da porównać. W okresie kiedy zajmowałem się typową archeologią śródziemnomorską, niewątpliwie interesowałem się bardzo tamtym obszarem, a szczególnie Bałkanami, ponieważ moja praca doktorska związana jest z kulturą iliryjską. Chodzi tu o Bałkany zachodnie, północną Grecję, Albanię, dzisiejszą Serbię i Macedonię. Po długoletnich badaniach u profesora Michałowskiego w Egipcie, byłem – rozumie się – zainteresowany głównie obiektami z tamtego kręgu. Gdy z kolei udało się zainicjować w naszym instytucie badania nad przystosowaniem wszelkich metod technicznych do potrzeb archeologii i historii architektury, najbardziej interesowało mnie właśnie wykorzystanie tych metod, ich przydatność, to, czy w weryfikacyjnych wykopach archeologicznych sprawdzają się wyniki uzyskane dzięki owym nowoczesnym metodom. Pierwsze szerokopłaszczyznowe badania prowadziliśmy w Sandomierzu, w roku sześćdziesiątym dziewiątym – siedemdziesiątym.

– Na czym polegają metody, o których Pan mówi?

– Te metody to: elektroindukcyjna (jak w najprostszych wykrywaczach metali), elektromagnetyczna (także wykorzystywana w wykrywaczach), magnetyczna (wagi magnetyczne, magnetometry protonowe, cezowe i inne), elektrooporowa, grawimetryczna, mikrosejsmiczna, sejsmiczno-dynamiczna. Coraz powszechniejsza jest metoda radarowa, przy czym georadar stosowano już od połowy lat siedemdziesiątych, ale dopiero ostatnio, dzięki rozwojowi informatyki i elektroniki, uzyskuje się tą metodą wiarygodne wyniki. Metody geofizyczne, które wymieniłem, są znane od dość dawna, ale my – nasza pracownia – przystosowaliśmy je do potrzeb archeologii, opracowaliśmy metodykę i specjalne konstrukcje aparatów dla potrzeb archeologii. W ramach każdej z tych metod jest kilka lub kilkanaście wariantów. W samej elektroporówce można zastosować kilkanaście różnych układów! Chcę mocno podkreślić, że większość wariantów i całą metodykę ich zastosowania w archeologii opracowaliśmy tutaj, w Polsce. To jest polskie osiągnięcie. Twórcami potrzebnej aparatury są również głównie polscy konstruktorzy, jak Leon Mucha i Janusz Konopacki. Przez dwanaście lat współpracował z nami, był naszym konsultantem, Aleksander Jagodziński, ogromnie doświadczony geofizyk. On jest prekursorem, jeśli chodzi o zastosowanie niektórych wariantów metody elektrooporowej w archeologii. Razem prowadziliśmy badania najpierw w Sandomierzu (w sześćdziesiątym ósmym i siedemdziesiątym), potem w Kartaginie i we Włoszech. W Kartaginie – w roku siedemdziesiątym pierwszym, siedemdziesiątym drugim – można powiedzieć, że po raz pierwszy na świecie zostały użyte nowoczesne metody geofizyczne w sposób komplementarny i na tak dużym zespole.

– Czy te metody nawzajem się sprawdzają, uzupełniają?

– Ależ tak, bo każda z nich bazuje na innym zjawisku fizycznym. Na przykład metoda elektrooporowa opiera się na przepływie prądu, a grawimetryczna – na niedoborze masy (różnicy przyciągania ziemskiego) w badanym punkcie. Najłatwiej odkryć pustkę elektrooporówką, ale nie da się precyzyjnie określić wielkości tej pustki. Na hipodromie w Kartaginie w pewnym miejscu uzyskaliśmy ogromną anomalię elektrooporową. Domyślaliśmy się, że może tam być pustka. Zastosowaliśmy grawimetr i dzięki niemu jeszcze przed rozkopaniem ustaliliśmy, że to jest pusta cysterna rzymska, określiliśmy jej długość, wysokość, wiedzieliśmy, na jakiej głębokości znajduje się jej strop. W określeniu długości pomyliliśmy się tylko o pół metra (na dziesięć metrów), w wysokości – o dwadzieścia centymetrów.

Metodę elektrooporową stosowano już przed nami, ale tylko na terenach bez zakłóceń. Dzięki opracowanym przez nas wariantom i konstrukcjom aparaturowym można było zastosować ją w miastach, w terenie ogromnie zakłóconym, szalenie trudnym pod względem stratygraficznym. Ze świetnymi rezultatami prowadziliśmy więc badania dla Włochów w Wenecji, Trento, Akwilei, Rzymie... Dublując metodę elektrooporową metodą mikrosejsmiczną odkryliśmy przebieg muru obronnego pod Placem Zamkowym w Warszawie i cały rozrys Bramy Krakowskiej, która później została wyeksponowana.

– Gdzie chciałby Pan teraz prowadzić badania? Zakładamy, że nie miałby Pan ograniczeń finansowych.

– Na przykład chciałbym porządnie dokończyć Gniew. Nigdy nie zostały dobrze zweryfikowane nasze wyniki uzyskane metodą mikrosejsmiczną. Przecież tam wyszły tak piękne rzeczy, nieznane kondygnacje piwnic... A później widzę w telewizji – ktoś mówi: „Może znajdziemy inne kondygnacje". Ja jestem gotowy je pokazać! Mało tego – miałem zamiar je otworzyć, tylko że się bałem ze względu na konstrukcję, bardzo łatwą do zniszczenia. Gdzie jeszcze chciałbym wrócić? Jest tego tak dużo! Robiłem ponad sto osiemdziesiąt obiektów, z tego około dziewięćdziesięciu na świecie, a zleceń mieliśmy zwykle wielokrotnie więcej niż mogliśmy zrealizować.

– Z obiektów nie badanych dotąd – co by Pan wybrał?

– Taki duży zespół, który byłby szalenie ciekawy i dla archeologów, i dla poszukiwaczy skarbów, i dla tych, którzy zajmują się militariami z różnych okresów – to chociażby Wrocław. Albo Poznań... Stosowane przeze mnie metody są nieniszczące, a więc przydatne przede wszystkim tam, gdzie tradycyjnymi, ze względu na życie codzienne, nie można dotrzeć bądź tam, gdzie absolutnie nie można ingerować. Na przykład na wyspie Murano w Wenecji prowadziliśmy badania w świątyniach, których wnętrza pokrywają znakomite mozaiki. Jak w takiej sytuacji używać metod archeologicznych? Dzięki naszym metodom udało się przebadać całe warstwy architektoniczne bez niszczenia cennych, zabytkowych reliktów.

Dr Jacek Przeniosło – twórca Pracowni Postępu Fizykotechnicznego w Archeologii w Instytucie Historii Kultury Materialnej (później przemianowanym na Instytut Archeologii i Etnologii) Polskiej Akademii Nauk
fot. ODKRYWCA

– Czy można szacunkowo obliczyć koszt zastosowania aparatury do badań metodami nieniszczącymi?

– Nie da się tego zrobić. Nawet nie można przeliczać na metr kwadratowy, bo inaczej to wygląda w terenie złożonym, zakłóconym, inaczej w łatwym, zależy od wielu czynników. Każdy obiekt szacuje się indywidualnie.

– Pomiędzy archeologami a eksploratorami częstsze są konflikty niż porozumienie. Jaki jest Pański stosunek do działań podejmowanych przez poszukiwaczy skarbów?

– Sceptycznie odnoszę się do samodzielnych badań tak zwanych poszukiwaczy na często wielowarstwowych obiektach archeologicznych. Natomiast widziałbym miłą współpracę z rozsądnymi i kulturalnymi poszukiwaczami skarbów (a znam takich). Oczywiście, skarb rozumiem tutaj bardzo szeroko – jakiś drobny przedmiot żelazny z epoki rzymskiej na naszych ziemiach także jest bezcennym skarbem. Eksploratorzy, zanim zaczną cokolwiek robić w terenie, powinni najpierw sprawdzić w gminie plan zagospodarowania przestrzennego i zorientować się, czy miejsce poszukiwań nie leży w strefie archeologicznej, bo tej strefy nie wolno naruszać nawet na niedużych głębokościach.

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

Kłodzka kolekcja zegarów

Kiedy rano, klnąc pod nosem, wyłączamy budzik, nie zdajemy sobie sprawy, że ten traktowany przez nas z niechęcią przedmiot ma bardzo szacownych przodków i ponad tysiącletnią historię. Fragment tej historii możemy poznać oglądając kolekcję zegarów w Muzeum Ziemi Kłodzkiej.

Miejsce tej ekspozycji może nieco dziwić – wszak Kłodzko nigdy nie było „zagłębiem zegarmistrzowskim". Kolekcja rzeczywiście zaczęła powstawać trochę przez przypadek, na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy pojawiła się tendencja do specjalizowania się małych muzeów. Wówczas postanowiono, że muzeum kłodzkie będzie gromadziło zegary.

Od pierwszej publicznej prezentacji kłodzkich zegarów minęło dwadzieścia lat. Kolekcja systematycznie się rozrastała i zyskiwała na wartości. Obecnie liczy 416 pozycji, w tym 382 zegary, kilka interesujących części zegarowych oraz 33 mechanizmy grające: pozytywki, gramofony, arystony. Wśród zegarowej arystokracji – zegarów szafowych z XVIII i XIX wieku, pięknych zegarów kominkowych i gabinetowych – poczesne miejsce zajmują zegary ludowe, z których największą grupę stanowią zegary typu szwarcwaldzkiego. Powstawały one od końca XVIII wieku, głównie w Górach Schwarzwaldu. Produkowano je najpierw chałupniczo, później fabrycznie. Możliwość nabycia ich za niewielkie pieniądze sprawiła, że stały się bardzo popularne wśród uboższych warstw ludności. Najciekawsze i najstarsze zegary tej grupy w kolekcji, datowane na koniec XVIII wieku, wykonane są w całości z drewna, a ich mechanizmów nie osłania żadna obudowa. Mają jedną wskazówkę godzinową i mechanizm bicia ze szklanym, zielonym dzwonkiem. Późniejsze, XIX- i XX-wieczne zegary szwarcwaldzkie to chyba najbardziej kolorowa i urozmaicona część kłodzkiej kolekcji. Mamy tu zegary „krajobrazowe", na których tarczach widnieje ręcznie malowany krajobraz, zegary „ikonowe" z tarczą wykonaną z wytłaczanej mosiężnej blaszki, zegary „architektroniczne" z drewnianymi obudowami zdobionymi tympanonikami, gzymsami, kolumienkami oraz bardzo ciekawe zegary z kukułkami.

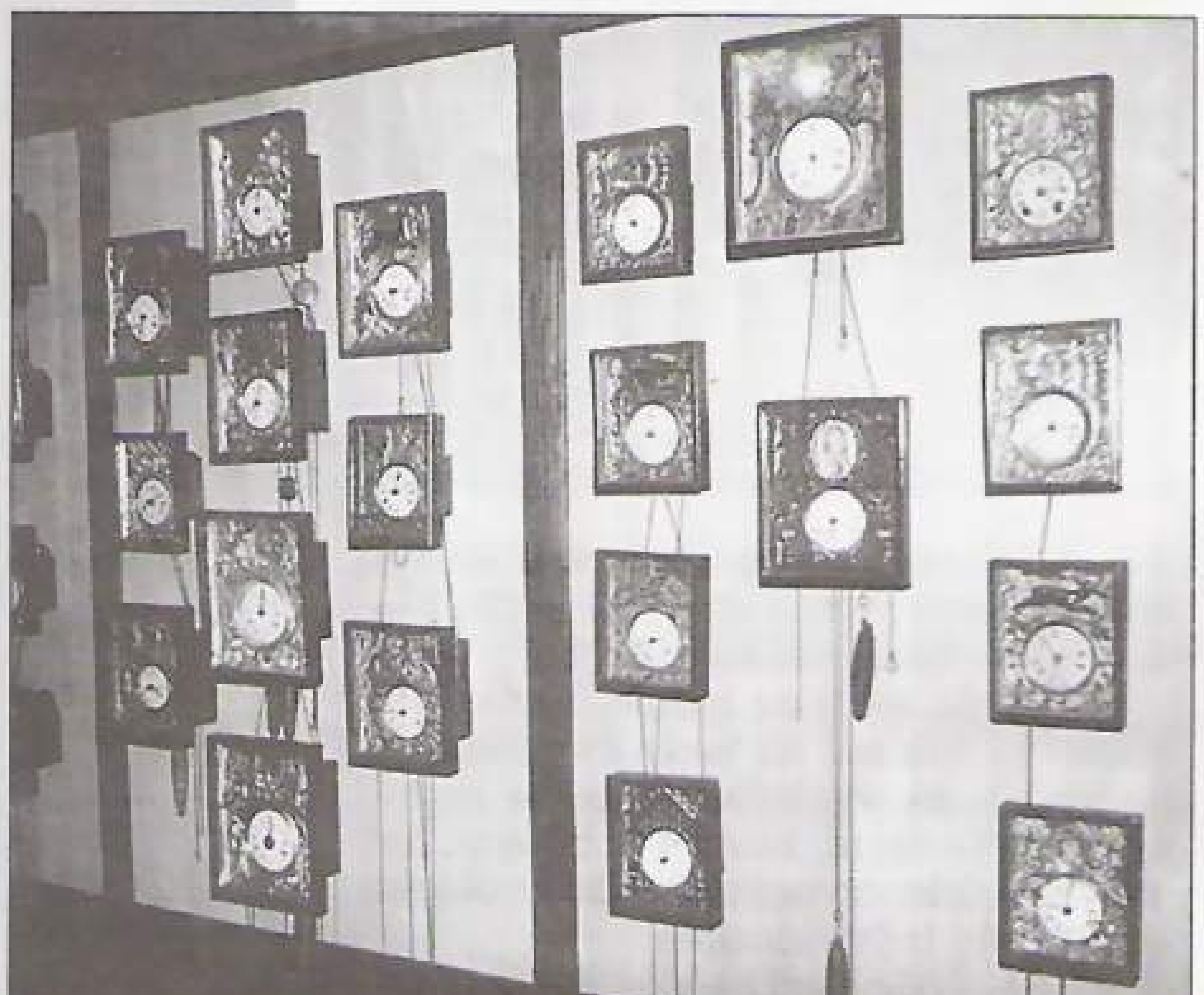

Zegary „ikonowe"
fot. Radosław Biczak

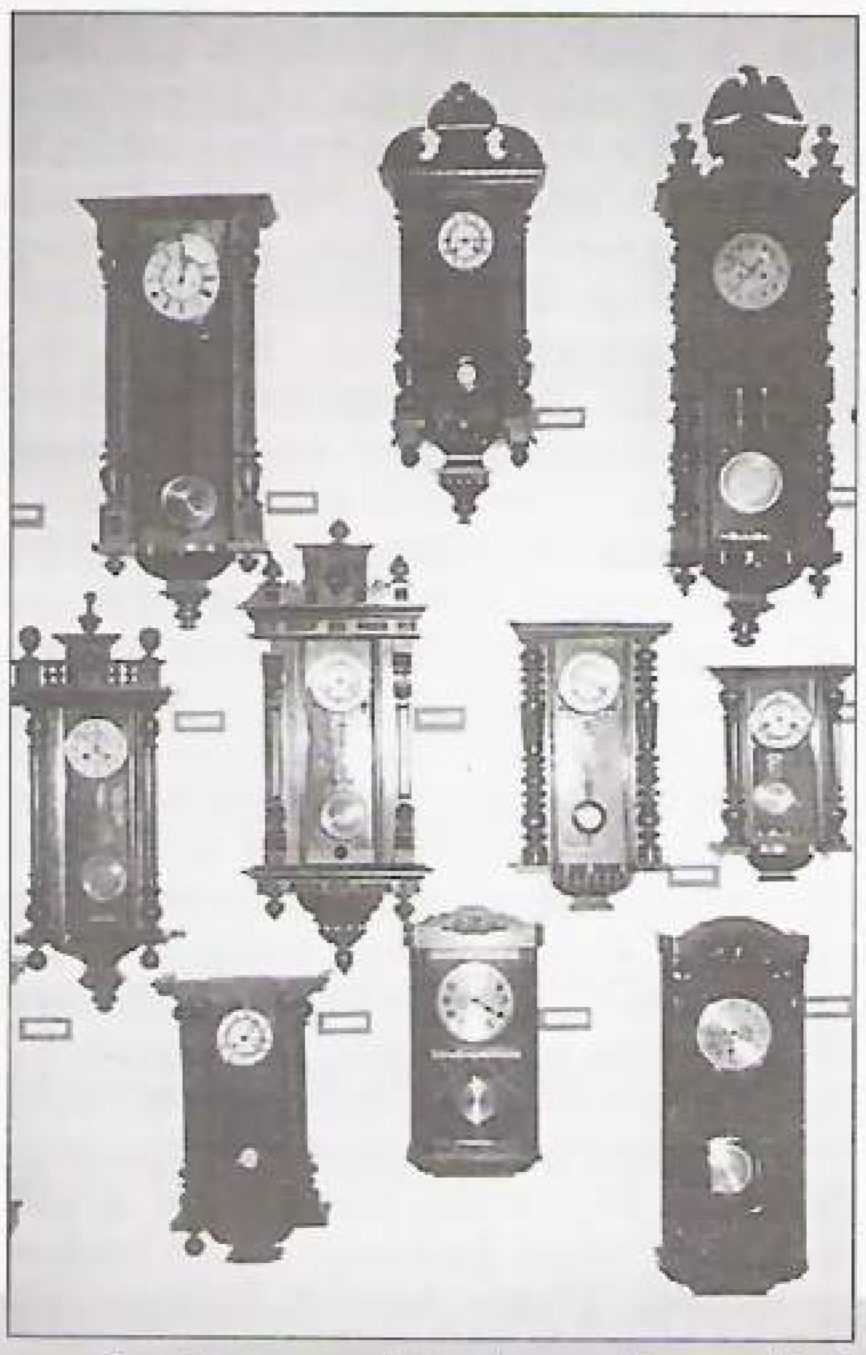

Czy piękne zegary odmierzają szczęśliwsze godziny?
fot. Radosław Biczak

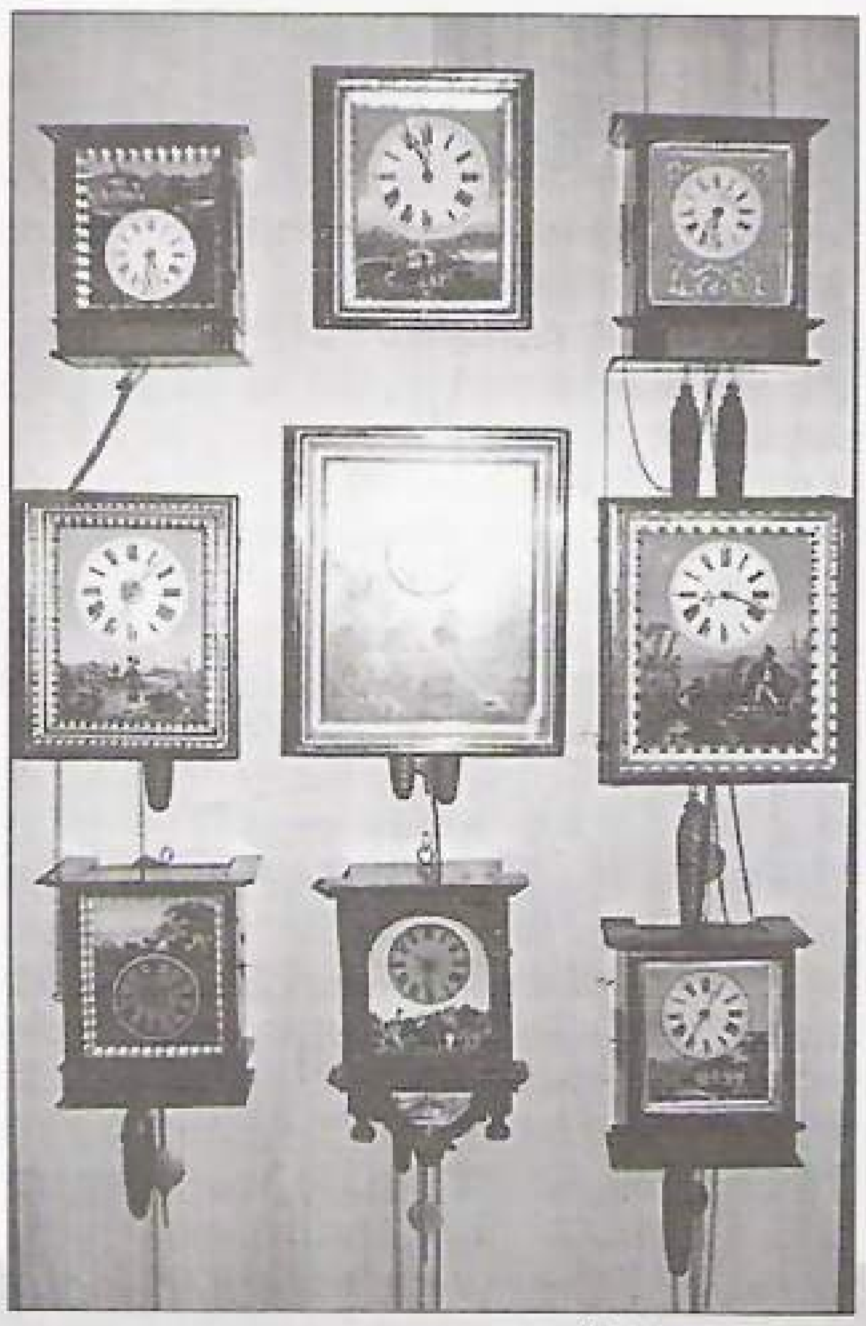

Krajobrazy czasu...
fot. Radosław Biczak

Drugą co do wielkości grupę stanowią zegary firmy G. Beckera ze Świebodzic – największej na Śląsku fabryki zegarów. W kłodzkich zbiorach są chyba wszystkie typy zegarów Beckera: kominkowe, szafkowe, półszafkowe, gabinetowe, podłogowe, zegary tzw. roczne (nakręcane raz na 400 dni), oryginalne zegary nocne oraz budziki.

Kolekcja Muzeum Ziemi Kłodzkiej wzbogaca się z roku na rok, a zgromadzone całkiem niedawno zegary z dnia na dzień stają się coraz cenniejszymi dokumentami epoki. Zanim więc któregoś ranka ciśniemy budzikiem o ścianę, pomyślmy, że być może i on kiedyś wzbogaci kłodzką kolekcję. A poza tym – czy wypada traktować w ten sposób przedmiot o tak bogatej historii i tak arystokratycznym drzewie genealogicznym?...

Karina Krawczyk

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Połączyć wiedzę...

– Czy jest pan zainteresowany współpracą z poszukiwaczami?

– Oczywiście. Jestem nawet podwójnie zainteresowany. Na wielu obiektach połamałem sobie zęby, nie wyszło. Teraz by wyszło, bo nie powtórzyłbym tych samych błędów, a poza tym technika poszła bardzo do przodu i zastosowałbym lepsze warianty metod. Uważam, że u poszukiwaczy skarbów wyrabia się pewien instynkt, że oni potrafią – powiedziałbym – „wyczuć", gdzie coś jest, a gdzie nie ma nic. Dobrze byłoby połączyć nowoczesną aparaturę z intuicją poszukiwaczy, z ich szalonym zaangażowaniem w badania i odkrycia. Współpraca archeologów z takimi ludźmi wydaje mi się bardzo cenna. (Ogromnie mi się podoba przykład francuski; Francuzi świetnie wykorzystali zapał młodych ludzi w badaniach terenowych, na przykład w badaniach „porzuconych osiedli" późnośredniowiecznych w Masywie Centralnym.) Z kolei włączenie do ekipy poszukiwawczej archeologa, na przykład przy badaniu lochów czy innych reliktów architektury, jest równie cenne, bo po prostu wzbogaca rezultaty takiej wyprawy.

– Dziękuję za rozmowę i... życzliwy stosunek do poszukiwaczy skarbów.

Rozmawiała Maria Wiatrowska

Cena czasu

Na warszawskiej giełdzie ceny zegarów są zróżnicowane. Rosyjski budzik sprężynowy z wytwórni Perkisof kupić można już za 25 złotych. Mechanizm zegarowy wraz z tarczą sygnowaną Le Roi a Paris proponowano za 90 złotych. Z kolei zegar ścienny w okrągłej obudowie drewnianej z tarczą o średnicy 20 centymetrów i sygnaturą: T. Mozero i K° – kosztował 400 złotych. Zegar francuski z XIX wieku w obudowie z czarnego marmuru i brązu wyceniono na 4000 złotych. Podobną cenę osiągnął francuski zegar kominkowy w ażurowej obudowie ze złoconego brązu, z końca XVIII wieku. Za zegar niemieckiej firmy G. Becker w dębowej skrzynce ozdobionej oryginalnymi rzeźbami żądano 700 złotych.

JD

Alfabet kamieni – beryl

Nazwa tego minerału pochodzi od nazwy pierwiastka. Wywodzi się od greckiego słowa *berrylos* lub łacińskiego *berillus*, określającego kamień o barwie zielonej, a według Pliniusza – od nazwy szczepu Berylonów, który miał podobno w starożytności wydobywać ten minerał.

Beryl to krzemian berylu. W zależności od domieszek innych minerałów zmienia się jego kolor. Najczęściej jest bladozielony, lub szarawobiały. Najwyżej ceniona i poszukiwana przez jubilerów jest odmiana przezroczysta o barwie zielonej. Nosi ona nazwę **szmaragdu**. Inne odmiany: błękitna – **akwamaryna**, różowa lub czerwona – **morganit**, złocista – **heliodor**, bezbarwna – **goszenit**. Beryl ma szklisty połysk, białą rysę, twardość 7,5 do 8,0 w skali Mohsa, gęstość 2,60-2,90. Jest kruchy. Najczęściej tworzy heksagonalne kryształy w postaci wydłużonych słupów, rzadziej o kształcie tabliczkowym. Niekiedy osiągają one długość kilku metrów. W literaturze podaje się, że największy znaleziony kryształ berylu miał długość 6 metrów i ważył 18 ton!

Minerał ten powstaje najczęściej w granitach i ich pegmatytach. Mając wysoką twardość i odporność chemiczną występuje także w aluwiach powstałych w skałach, w których się tworzy.

Beryl spotykany jest pospolicie w Brazylii (Minas Gerais), na Madagaskarze, w USA, Indiach, Rosji. Głównym dostawcą szmaragdów jest Kolumbia (kopalnie w Muzo, Chivor, Cosques). Wydobywa się je także w Brazylii (Minas Gerais, Salininha), Rosji (Ural i Syberia), Afryce (Zimbabwe i Transwal, gdzie pozyskiwano największe dotychczas kryształy szmaragdu – do 25 cm). Najładniejsze akwamaryny pochodzą z Minas Gerais w Brazylii, Nerczyńska na Syberii i Murzinki na Uralu. W Brazylii w 1910 r. znaleziono wspaniałą akwamarynę o długości ok. 0,5 m i wadze 110 kg. Najpiękniejsze morganity znajduje się na Madagaskarze (Marahitra).

W Europie znane są złoża we Włoszech – Val Vigezzo, Baveno, Craveggia, Monte Scheno – oraz w Austrii – okolice Salzburga. W Polsce, nieprzezroczyste z powodu wielu inkluzji, kryształy berylu występują jedynie na Dolnym Śląsku, przede wszystkim w Górach Sowich. Spotyka się je również w okolicach Szklarskiej Poręby (Ptasie Gniazda), Karpacza (Wilcza Poręba), Świdnicy (Wierzbno, Mrowiny, Siedlimowice), Sobótki (Strzeblów), Jordanowa, Strzelina (Biały Kościół).

Beryl i jego odmiany, szczególnie szmaragd, należą do najdłużej znanych kamieni szlachetnych. Wydobywano go i stosowano w jubilerstwie już w starożytnym Egipcie. Znajdujące się tam kopalnie (Kosheir) długo były jedynymi znanymi miejscami wydobycia. Najpiękniejsze szmaragdy pochodzą z Ameryki Południowej i kopalni Muzo. Kiedy Hiszpanie podbili Inków i Azteków, wspaniałe kamienie trafiły do rąk najeźdźców, a z nimi – do Europy. Dziś w wiedeńskim Muzeum Historii Naturalnej można oglądać piękną druzę szmaragdów należącą prawdopodobnie do Montezumy – władcy Azteków. Inna, równie piękna, jest w skarbcu Sasów – „Grünes Gewölbe" w Dreźnie.

W zbiorach muzealnych znajduje się także wiele pięknych okazów akwamaryny. Największą oszlifowaną, wagi 1000 karatów, posiada Smithsonian Institution w Waszyngtonie. W zbiorze tym jest także największy oszlifowany heliodor o masie 2054 karatów. W Muzeum Narodowym w Waszawie można podziwiać duże akwamaryny wprawione w berło króla Stanisława Augusta – wspaniałe dzieło XVIII-wiecznych złotników.

Podkreślić należy, że szmaragd jest jednym z najdroższych kamieni szlachetnych. Obecnie są już produkowane jego postacie syntetyczne.

Beryl wykorzystuje się ponadto jako źródło metalu o tej samej nazwie, stosowanego w technice lotniczej i jądrowej jako składnik lekkich i wytrzymałych stopów.

Do beryli są podobne: apatyt, topaz, turmalin, chryzoberyl, fluoryt.

Piękne beryle należą do najcenniejszych okazów w zbiorach minerałów.

MD

Wykaz giełd staroci

Bywając na różnych giełdach staroci spotykałem sie z pytaniem, gdzie i kiedy odbywa sie następna giełda. Dokonałem spisu wszystkich dostępnych mi informacji i sporządziłem „Wykaz giełd staroci", choć ostrzegam, aby przed wyjazdem na giełdę ze Szczecina do Rzeszowa zatelefonować, czy termin jest nadal aktualny.

Równocześnie pragnę podać, że są organizowane tzw. jarmarki. Szczególnie interesujące to: Jarmark Swiętojański w Poznaniu (20-24 czerwca), Jarmark Dominikański w Gdańsku (1-3 sierpnia), Jarmark Krakowski na Rynku Głównym (15-16 sierpnia) oraz Jarmark Zakopiański na Placu Niepodległości (14-16 sierpnia). Ale o tych imprezach będziemy mogli napisać wiosną 1999 roku, jeśli otrzymamy od organizatorów informacje.

Ewentualne uzupełnienia, zmiany czy nowe wpisy do „Wykazu giełd staroci" proszę przesyłać pod adresem Klubu Częstochowskich Kolekcjonerów, skr. poczt. 636, 42-217 Częstochowa, tel. (034) 324 94 67.

T. Pena

BYDGOSZCZ (85-000) – ul. Sułkowskiego 51, w budynku, bez możliwości rezerwacji miejsca. Organizator: Klub POW, tel. (052) 378 35 50. Trzecia niedziela miesiąca.

BYTOM (41-900) – plac Jana III Sobieskiego, plac otwarty, bez możliwości rezerwacji miejsca. Organizator: Urząd Miejski, tel. (032) 81 81 89. Pierwsza sobota miesiąca.

CHEŁM (22-100) – plac Tysiąclecia 1, w budynku, bez możliwości rezerwacji miejsca. Organizator: Wojewódzki Dom Kultury, tel. (082) 563 00 81. Trzecia niedziela miesiąca.

CIESZYN (43-400) – ul. Rynek 12, w budynku na pierwszym piętrze, bez możliwości rezerwacji miejsca. Organizator: Cieszyński Ośrodek Kultury „Dom Narodowy", tel. (033) 52 04 23. Pierwsza niedziela miesiąca.

DĄBROWA GÓRNICZA (41-300) – plac przed Pałacem Kultury, plac otwarty, bez możliwości rezerwacji miejsca. Organizator: Towarzystwo Przyjaciół Dąbrowy Górniczej, tel. (032) 162 17 50. Pierwsza i trzecia niedziela miesiąca.

GLIWICE (44-100) – targowisko przy ul. Lipowej 67, plac otwarty, bez możliwości rezerwacji miejsca. Organizator: Urząd Miejski, tel. (032) 31 46 66. Trzecia niedziela miesiąca.

KIELCE (25-000) – ul. Ściegiennego 6, w budynku na pierwszym piętrze, bez możliwości rezerwacji miejsca. Organizator: Wojewódzki Dom Kultury, tel. (041) 361 31 29. Druga sobota miesiąca.

KRAKÓW (31-000) – przed Halą Targową przy ul. Grzegorzeckiej, plac otwarty, bez możliwości rezerwacji miejsca. Organizator: Spółka placowa, tel. (012) 634 15 86. Każda niedziela.

LUBLIN (20-000) – boisko szkolne przy placu Wolności 4, w miesiącach letnich – na boisku; w zimie – w budynku, bez możliwosci rezerwacji miejsca. Organizator: Wojewódzki Dom Kultury, ul. Dobrej Panny Marii 3, tel. (081) 532 42 07. Czwarta niedziela miesiąca.

ŁÓDŹ (91-000) – ul. Traugutta 18 – na wprost Dworca Fabrycznego PKP, w budynku na trzecim piętrze, bez możliwości rezerwacji miejsca. Organizator: Łódzki Dom Kultury, tel. (042) 633 98 00. W każdą niedzielę.

RZESZÓW (35-000) – plac Ofiar Getta 4, w budynku, bez możliwości rezerwacji miejsca. Organizator: Dom Kultury Kolejarzy, tel. (017) 852 73 63. Druga niedziela miesiąca.

WARSZAWA (01-421) – Targowisko na Kole przy ul. Obozowej 99, plac otwarty, bez możliwości rezerwacji miejsca. Organizator: WSS „Społem" Wola – Warszawa, tel. (022) 36 23 51. W każdą sobotę i niedzielę.

WROCŁAW (51-000) – plac przy ul. Gnieźnieńskiej 6/8, plac otwarty, z możliwością rezerwacji miejsca. Organizator: Spółdzielnia Pracy Transportowców, tel. (071) 55 00 93.

Krypta rodów Weiherów

Jeżeli podróżujemy z Gdańska w kierunku Szczecina, niedaleko za Wejherowem, w miejscowości Bożepole Wielkie, drogę przegradza nam niekiedy kolejowy szlaban. Sznur samochodów oczekuje na przejazd pociągu z Gdańska na zachód lub w kierunku odwrotnym. Zawsze trwa to kilkanaście minut. Jeśli podróżni mają trochę czasu, a ciekawi są świata, to zamiast czekać, mogą wjechać do wsi i zobaczyć co nieco.

Kościółek w Bożympolu Wielkim – stan z lat sześćdziesiątych **fot. Zachariasz Frącek**

Tuż przed przejazdem, jeśli jedzie się od strony Gdańska, odbiega w prawo wiejska droga. Po kilkuset metrach dotrzemy do niewielkiego wzgórka, na którym stoi stary, drewniany kościółek. Obecnie nie jest już używany, a miejscowa parafia wystawiła obok dużą, murowaną świątynię. Stary kościół wygląda biednie, a jego stan techniczny pozostawia wiele do życzenia. Brak środków na remont nieuchronnie przybliża smutny epilog. Bardzo niewiele osób wie, że jest to jedna z najstarszych zachowanych świątyń na Ziemi Lęborskiej. Zbudowana została w 1693 roku przez Bartola von Lamtosch'a, czyli Bartłomieja Łętosza, jako prywatna kaplica ewangelicka. Bożepole Wielkie, jako dobro rycerskie, wielokrotnie zmieniało właścicieli. Ostatecznie w 1778 roku majątek od Sofie Luize von der Golz za 19 tys. talarów zakupili przedstawiciele ewangelickiej linii Weiherów. Ród ten przebywał tu aż do 1945 roku, kiedy ostatni z Weiherów „wyemigrowali" do Niemiec. Zostawili jednak wszędzie ślady swojej obecności. Jednym z najważniejszych i najbardziej niezwykłych jest krypta, w której pochowano doczesne szczątki przedstawicieli tego potężnego pomorskiego rodu. Znajduje się ona pod podłogą wspomnianego wcześniej kościółka. Niewiele wiedziano o tym, kto tam został pochowany i czyje trumny się tam znajdują. Owszem, krypta była kilkakrotnie penetrowana. Nie robili tego jednak badacze historii, lecz szabrownicy, zwani popularnie „cmentarnymi hienami". Fachową inwentaryzację krypty przeprowadzili niedawno członkowie Lęborskiego Bractwa Historycznego i w jej trakcie dokonali kilku ciekawych odkryć.

Trumny są rozprute i zdewastowane w poszukiwaniu kosztowności. Nie oszczędzono tego nawet szczątkom niemowlęcia. **fot. Zachariasz Frącek**

Dzięki uprzejmości miejscowego proboszcza, księdza Alfonsa Formeli, historycy-amatorzy dostali się do wnętrza kościoła. Nie trzeba było długo szukać, aby znaleźć wejście do krypty. Prowadzi ono przez drewnianą klapę znajdującą się w podłodze nawy głównej. Zejście pozbawione jest obecnie schodów, zostały po nich tylko drewniane resztki, i trzeba trochę uważać, aby nie trafić do krypty „w przyspieszonym tempie". Po zejściu do najniższego poziomu penetrujący znaleźli się w prostokątnym pomieszczeniu zbudowanym z cegły. Strop o łukowatych sklepieniach podpierają dwa, również ceglane, filary. Całe pomieszczenie wypełniają trumny. Każda z nich jest podwójna – wewnątrz metalowa, z zewnątrz drewniana. Wszystkie są rozprute i rozbite. Widać zasuszone zwłoki spoczywające w trumnach wypełnionych korą drzew. Jest to kora dębowa, stosowana jako materiał garbarski, tu pełni funkcję konserwująco-mumifikującą. Resztki ludzkie często są sprofanowane. To efekt działalności „hien". Na wielu trumnach brakuje tabliczek z informacją o zmarłym. Dlatego też niezmiernie trudno dziś ustalić, która trumna do kogo należała. Jednakże z części zachowanych tabliczek, wielkości trumien, a także resztek zmumifikowanych ciał można wywnioskować kilka rzeczy. A są one dość ciekawe.

Na podstawie analizy napisów na trumnach członkowie Bractwa ustalili, że krypta stała się miejscem pochówku

Inwentaryzację krypty przeprowadzili członkowie Lęborskiego Bractwa Historycznego **fot. Zachariasz Frącek**

wybitnych członków rodu Weiherów. Na najstarszej zidentyfikowanej trumnie znajduje się napis: *Ludwik Ernst von Weiher aus Gross Boschpol, Landratd Lauenburg und Bütow, geb. 1750, gest. 1814.* Oznacza to, że spoczywa tu Ludwik Ernest von Weiher z Bożegopola Wielkiego, poseł z Ziemi Lęborsko-Bytowskiej do Parlamentu Pruskiego (1800-1814), urodzony w 1750, a zmarły w 1814 roku. Jest to syn Jerzego von Weihera. Obok w trumnie z napisem: *Dorothea von Weiher, gleb von Dorne, gost. 1840* spoczywa Dorota von Weiher z domu Dorn, zmarła w 1840 roku, najprawdopodobniej jedna z żon Ludwika Ernesta. Kolejny napis na trumnie ujawnia rewelację! Na metalowej tabliczce widnieje napis: *Karoline von Weiher Hochenzollern, geb. 1782, gest. 1860.* Więc to tu, w marnym kościółku w Bożympolu Wielkim, spoczęła na wieki księżna Karolina von Hochenzollern z domu Weiher. Wynika z tego, że po śmierci w 1860 roku zwłoki księżnej, na jej zapewne życzenie, przewieziono do rodowego gniazda i pochowano w wiejskim kościółku. W tym momencie zrozumiała stała się notatka mówiąca o tym, że w 1806 roku rodzina królewska uciekając z Königsbergu (Królewca) zatrzymała się na kilkudniowy postój w pałacu w Bożympolu. Zrozumiałe jest w tym momencie również to, że wiele lat później, książę Wilhelm, już jako cesarz Wilhelm I, ponownie w czasie podróży zatrzymał się na postój w tym pałacu. Po prostu spokrewnieni z Hochenzollernami władcy Prus zatrzymali się u Weiherów, rodu poprzez księżną Karolinę spowinowaconego z rodziną królewską. Być może cesarz Wilhelm chciał odwiedzić grobowiec księżnej?

Na tabliczce przymocowanej do kolejnej trumny widnieje napis: *Carl von Weiher, geb. 3.08.1795, gest. 5.07. 1870, Rittergutsbesitzer Gross Boschpol, Vorsitzender von 1855-70.* – Karol von Weiher, właściciel dobra rycerskiego Bożepole Wielkie, prezes w latach 1855-70 miejscowego Towarzystwa Ziemskiego. Jak wiadomo z innych dokumentów, Carl von Weiher odziedziczył majątek po Ludwiku Erneście, po śmierci tego ostatniego w 1814 roku. Po Carlu Bożepole odziedziczył jego młodszy brat, Eugen. Jego trumna również znajduje się w krypcie. Świadczy o tym napis: *Eugen von Weiher auf Zemmin und Gross Boschpol, geb. 2.07. 1797, gest. 30.11. 1876,* czyli Eugeniusz von Weiher z Ziemina i Bożegopola Wielkiego. W następnej trumnie spoczywa Adelajda von Weiher z Rexsinów, o czym informuje napis: *Adelheid von Weiher aus Gross Boschpol geb. Von Rexin, geb. 19.08. 1846, gest. 3.01.1932.* Obok, przywalona innymi trumnami znajduje się trumna z napisem: *Julia von Weiher, geb. Kleist aus Felstow, 26.10.*

1875. Z napisu dowiedzieć się można jedynie tego, że leży tu Julia von Weiher urodzona z Kleistów z Wielistowa. Natomiast nie wiadomo, czego dotyczy data – narodzin czy śmierci.

Takich trumien jest więcej. Z zupełnie zatartych tabliczek można odczytać jedynie fragment nazwiska czy też nic nie mówiącą datę. Tak jest w przypadku dwóch trumien z napisami: *Gustaw von Weiher, Caroline von Weiher* i *Moritz von Weiher, Landradt zu Lauenburg und Bütow*. Z trzeciego napisu można dowiedzieć się tylko, że zmarły był posłem Ziemi Lęborsko-Bytowskiej na Sejm Pruski. Wśród stosu trumien są także dziecięce. W jednej leżą szczątki kilkumiesięcznego dziecka, w drugiej spoczywa około 10-letni chłopiec. Można to poznać po tym, że przy jego boku znajduje się złamany dziecięcy rapier (?), którym nie zainteresowali się grabieżcy grobów. Tradycje rycerskie rodu kazały, aby do trumny męskiego potomka włożyć symboliczną broń.

Po kilku godzinach spędzonych w zaduchu krypty, członkowie Lęborskiego Bractwa Historycznego wychodzą na świeże powietrze. Czynią to z ochotą, bowiem mimo że krypta jest wentylowana, kilkusetletni kurz i specyficzny zapach bardzo utrudnia oddychanie. Proboszcz Formela zaprasza na plebanię. Teraz jest czas na podsumowanie. Penetracja okazała się bardzo owocna. Oprócz ustalenia miejsca pochówku księżnej Karoliny i kilku innych znaczących postaci rodu Weiherów odkryto także inną ciekawostkę. Wszystkie nazwiska napisane zostały przez „i", a nie – jak często się spotyka – przez „j". Oznacza to, że ta linia rodu, podobnie jak linia łebska, pisała się „Weiher", a nie jak powszechnie pisuje się nazwę rodu – „Wejher". Nie oznacza to, że ta ostatnia pisownia jest błędna. Inne linie tego olbrzymiego rodu pisały się przez „j", o czym świadczy dla przykładu nazwa miasta Wejherowa. Zadowolenie ekipy penetrującej burzy jednak świadomość, że jeśli zabytkowy kościółek nie zostanie zabezpieczony, niebawem runie. Zniszczeniu może też ulec grobowa krypta Weiherów. Ksiądz Formela mówi, że w nowej świątyni wydzielono miejsce dla trumien ze starej krypty. Można je przenieść, jednak nie ma kto tego zrobić z zachowaniem obowiązujących procedur. Wielcy Weiherowie i kościółek, pod którym spoczywają, czekają więc na lepsze czasy.

Leszek Kotarski

Po dojściu Hitlera do władzy Niemcy zaczęli realizować m.in. szeroko zakrojony plan budowy autostrad. Jak powszechnie wiadomo, po wojnie granice Polski przesunęły się ze wschodu na zachód; straciliśmy Kresy Wschodnie, otrzymaliśmy tzw. Ziemie Odzyskane. Zachodnie latyfundia dostaliśmy z całym dobrodziejstwem inwentarza – górami, lasami, zamkami, kopalniami etc., jak również wspomnianymi drogami. W Sudetach owe drogi wiją się malowniczo, trawersując stoki, okalając masywy i urokliwie wspinając się na przełęcze górskie. Dzisiaj nikt będący przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się nazwać takiej szosy autostradą. Jednak na większości map turystycznych, zupełnie słusznie kultywujących dawne nazewnictwo, figurują pod mianem autostrad lub dróg sudeckich.

Góry Izerskie. Pod tą skałą znajdują się chodniki minerskie

Sekrety sudeckich dróg

Dwa górskie pasma – Góry Bystrzyckie i Góry Izerskie – oprócz autostrad, łączy jeszcze jedno: chodniki minerskie. Te w Górach Bystrzyckich są powszechnie znane. Znajdują się pod drogą między przełęczą Spaloną a przełęczą Nad Porębą. Dziesięć lat temu, rozrysowane przez Roberta Jurgę, ukazały się w broszurze „Polskie umocnienia" część 6.

Chodnik minerski

O podobnych chodnikach w Górach Izerskich słyszało zdecydowanie mniej osób. Znajdują się na odcinku drogi ze Szklarskiej Poręby do Świeradowa, kawałek za popularnym Zakrętem Śmierci. Wloty do trzech chodników mieszczą się na krótkim odcinku w skarpie pod drogą. Kiedyś były dobrze zamaskowane – zamknięte metalowymi drzwiami i obłożone darnią, dziś zapraszają do środka. Zostały ulokowane w strategicznym miejscu – przed zakrętem drogi i wiodą pod skałę, której odstrzelenie skutecznie zablokowałoby szosę. Pytanie tylko – po co? Czy zakładano, że zablokowanie drogi pozwoli zyskać na czasie i umożliwi zamaskowanie w ostatniej chwili jakiegoś podziemnego obiektu? A może tylko przewidujący Niemcy chcieli zabezpieczyć sobie odwrót?

„Gdybać" można na wiele sposobów – chodniki są faktem i każdy je może obejrzeć. Ciekawe, czy na innych odcinkach autostrady sudeckiej znajdują się podobne obiekty; być może czekają na swojego odkrywcę...

Tekst i zdjęcia
Radosław Biczak

Jaskinia Dudnisko – klucz do...

Eksploratorzy z Sekcji Speleologicznej Wrocławskiego Klubu Wysokogórskiego, działającej przy PTTK Stronie Śląskie – Dariusz Data, Radosław Dubicki, Tomasz Marek, Piotr Potok i Roman Ziemba – 29 sierpnia ubiegłego roku odkryli nową jaskinię w masywie Śnieżnika. Nazwali ją Dudnisko.

Jaskinia znajduje się w dolinie Kleśnicy, w rezerwacie przyrody „Jaskinia Niedźwiedzia", na wysokości 835 metrów n.p.m. Ma 88 metrów długości i zajmuje pod tym względem piąte miejsce wśród 16 jaskiń w Kotlinie Kłodzkiej. Pod względem deniwelacji, która wynosi 15 metrów, jest na szóstym miejscu. Jaskinia Dudnisko powstała na szczelinie tektonicznej w marmurach tej samej serii co Jaskinia Niedźwiedzia. Rozpoczyna się 9-metrową studnią. W partii przyotworowej występują polewy naciekowe, w dalszych korytarzach jest ich niewiele lub nie ma w ogóle. Końcową salę odkrywcy nazwali Nietoperzową, ponieważ ciągle przebywa tam duża kolonia nietoperzy.

Dzięki swojemu położeniu Dudnisko stwarza szansę połączenia z Jaskinią Niedźwiedzią przez nie odkryty dotąd system korytarzowy. Na podstawie badań prowadzonych w latach 1997-1998 speleolodzy ze strońskiego PTTK stwierdzili, że dojście do dużego systemu jaskiniowego jest najbardziej realne właśnie od strony Dudniska. Do pokonania zostało około 30 metrów w linii prostej. Trwają intensywne prace eksploracyjne, oczywiście przy użyciu specjalistycznego sprzętu i z zachowaniem środków bezpieczeństwa. Speleolodzy ze Stronia uważają, że istnieje realna szansa, aby do końca 1999 roku zagadka Wielkiego Systemu Jaskiniowego pod Śnieżnikiem została wyjaśniona.

UWAGA: Dudnisko należy do jaskiń pionowych, silnie strzaskanych tektonicznie. Jest trudna i niebezpieczna. Zwiedzać mogą ją wyłącznie osoby przygotowane technicznie i wyposażone w sprzęt alpinistyczny. Wymagane jest jednocześnie zezwolenie dyrekcji Śnieżnickiego Parku Krajobrazowego. Obecnie wejście do jaskini Dudnisko kontroluje Sekcja Speleologiczna PTTK Stronie Śląskie.

(mar)

Na podstawie informacji Dariusza Daty

Niebezpieczne „skarby" (10)

Chociaż od wojny minęło ponad pół wieku, nasze ziemie wciąż kryją niewypały i niewybuchy. Można na nie trafić nie tylko szukając skarbów. Wiele osób nie umie tych wojennych „pamiątek" zidentyfikować i beztrosko wydobywa je z ziemi narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Będziemy więc systematycznie prezentować typy pocisków, granatów i bomb używanych w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej, aby ułatwić ewentualnym znalazcom ich rozpoznanie. Przypominamy: przedmiotów, które tutaj przedstawiamy, nie wolno kolekcjonować, nie wolno ich w ogóle ruszać – to praca dla sapera.

Drodzy Czytelnicy !

Na początku pragnę Was serdecznie przeprosić za to, że nie zawsze udaje mi się w kolejnych numerach przedstawić ciągłość historii granatów z jednego kraju. „Odkrywca" ukazuje się co miesiąc i czasami nie mam możliwości zebrania na czas materiałów. Poza tym w niektórych opracowaniach tematycznych panuje taki chaos, że człowiekowi dosłownie ręce opadają. Mam nadzieję, że zrozumiecie i wybaczycie.

Chciałem Wam również serdecznie podziękować za korespondencję. Niestety, w około 60 procentach przypadków (zainteresowani wiedzą, o kim mówię) muszę stwierdzić, że jesteście albo niepoważni, albo ciężko chorzy!

Musimy się zrozumieć. Ta rubryka ma na celu pokazanie potencjalnym znalazcom, jak wyglądają przedmioty niebezpieczne, na które można natknąć się w trakcie poszukiwań. Dlatego też rysunki są schematyczne, a opisy dotyczą tylko podstawowych informacji. Nigdy nie będziemy pisać, jak rozbrajać tego typu znaleziska ani przy pomocy jakich narzędzi. Zawsze i upierdliwie będziemy to przypominać – TO ROBOTA DLA SAPERA!

Jeżeli komuś podobają się granaty, pociski oraz inne tym podobne zabawki i ma zamiar je kolekcjonować – proszę bardzo. Na giełdach kolekcjonerskich i w antykwariatach militarnych nie brakuje tego typu, już rozbrojonych, fantów (osobiście wolę nie myśleć, kto i w jaki sposób je rozbrajał).

I to by było chyba na tyle. W każdym razie jeszcze raz dziękuję za wszystkie listy i czekam na następne. W miarę możliwości postaram się na każdy jak najszybciej odpisać.

G.F.

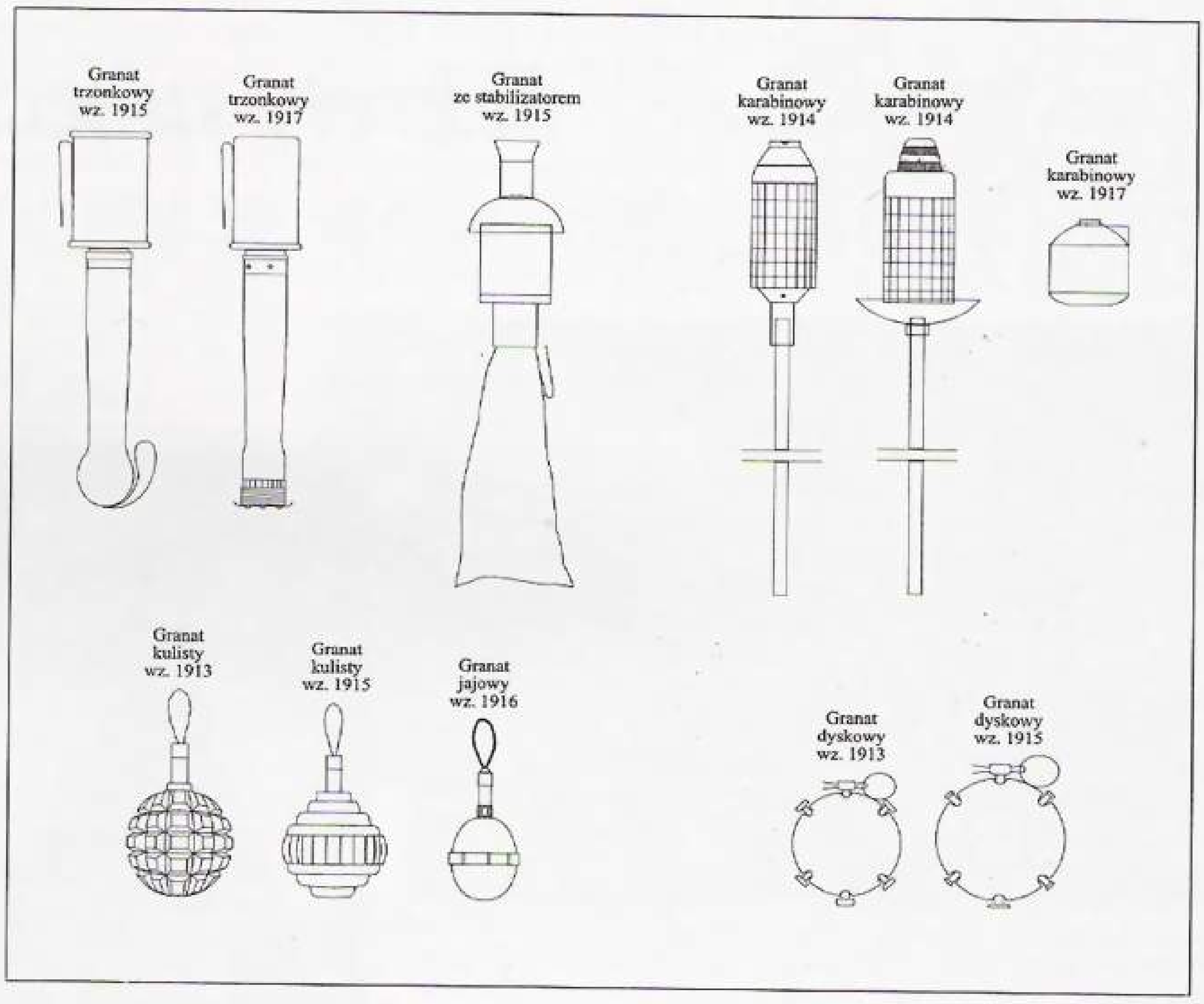

GRANATY NIEMIECKIE Z OKRESU I WOJNY ŚWIATOWEJ

Ręczny granat kulisty wz. 1913 – Kugelhandgranate M.13
Waga – 800g; materiał wybuchowy – proch czarny; zapalnik – tarciowy ze zwłoką 5 - 7 sek.

Ręczny granat kulisty wz. 1915 – Kugelhandgranate M.15
Waga – 900g; materiał wybuchowy – proch czarny; zapalnik – tarciowy ze zwłoką 5 - 7 sek. (Była to uproszczona i unowocześniona wersja granatu wz.13.)

Granat jajowy wz. 1916 – Eierhandgranate M.16
Waga – 350g; materiał wybuchowy – proch czarny, szedyt; zapalnik – tarciowy ze zwłoką 5 sek.

Ręczny granat dyskowy wz. 1913 (mały) – Diskushandgranate M.13
Waga – 380g; materiał wybuchowy – proch czarny, szedyt, tolit; zapalnik – uderzeniowy.

Ręczny granat dyskowy wz. 1915 (duży) – Diskushandgranate M.15
Waga – 460g; materiał wybuchowy – proch czarny, szedyt, tolit; zapalnik – uderzeniowy.

Granat ręczny ze stabilizatorem wz. 1915 – Handgranate M.15
Waga – 1500g; materiał wybuchowy – tolit; zapalnik – uderzeniowy.

Granat trzonkowy wz. 1915 – Stielhandgranate M.15
Waga – 900g; materiał wybuchowy – szedyt, tolit; zapalnik – tarciowy ze zwłoką 5 sek.
(W niektórych partiach zastosowano dodatkowe wkładki odłamkowe pomiędzy skorupą a materiałem wybuchowym. Według nie sprawdzonych danych, w 1916 roku część granatów wykonano z zapalnikiem uderzeniowym.)

Granat trzonkowy wz. 1917 – Stielhandgranate M.17
Waga – 750g; materiał wybuchowy – tolit; zapalnik – tarciowy ze zwłoką 5 - 7 sek. (Ostateczna wersja niemieckiego granatu trzonkowego z okresu I wojny światowej.)

Granat do garłacza karabinowego wz. 1917 – Karabinergranate M.17
Waga – 500g; materiał wybuchowy – różne; zapalnik – czasowy ze zwłoką 5 sek., uzbrajany w czasie strzału (granat wystrzeliwany przy pomocy naboju bojowego – z pociskiem).

Granat karabinowy prętowy wz. 1913 – Karabinergranate M.13
Waga – 900g; materiał wybuchowy – proch czarny; zapalnik – uderzeniowy.

Granat karabinowy prętowy wz. 1914 – Karabinergranate M.14
Waga – 900g; materiał wybuchowy – proch czarny; zapalnik – uderzeniowy.

Grzegorz Franczyk

Sławomir Kordaczuk przedstawia

Militaria w domu: lampy naftowe wykonane z łusek nabojów artyleryjskich z widocznymi otworami do wlewania nafty (w wyższej – otwór zatkany drewnianym korkiem). W zaklepanej końcówce mocowano knot. Podobna lampa „zagrała" w piętnastym odcinku serialu TVP „Czterej pancerni i pies" – w scenie pokazującej sztab dowództwa.

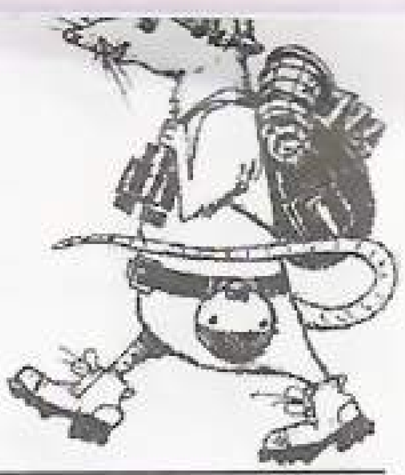

Fortyfikacja polska w pigułce

Fortyfikacje na ziemiach polskich mają kilkusetletnią tradycję, sięgają czasów średniowiecza. Zbigniew Inglot marzy o stworzeniu na Cytadeli Poznańskiej muzeum fortyfikacji. (Patrz: rozmowa w „Odkrywcy" nr 2/99.) Jest odpowiednie miejsce, są eksponaty, brakuje tylko pieniędzy, aby zaadaptować schron sanitarny.

Tymczasem pan Zbigniew zorganizował na Cytadeli wystawę poświęconą fortyfikacji polskiej. Uroczyste otwarcie odbyło się 5 marca br. Podpułkownik Inglot powiedział skromnie, że był „tylko motorkiem, który podkręcał co niektórych", ale nie dałby sobie rady bez pomocy wielu życzliwych osób, i to w większości spoza Towarzystwa Przyjaciół Fortyfikacji.

Mapa „Budowle obronne od połowy XVIII do połowy XX wieku" – owoc pracy miłośników i znawców fortyfikacji
fot. ODKRYWCA

Ekspozycja zajmuje dwie sale w Muzeum Uzbrojenia. Pierwsze pomieszczenie poświęcone jest Twierdzy Poznań, w drugim zaprezentowano najciekawsze budowle obronne i rozwój fortyfikacji na ziemiach polskich. Wśród eksponatów znajdują się mapy, plany twierdz, makiety (m.in. zamki w Kamieńcu Podolskim, Chęcinach, Malborku, Wiśniczu, Cytadela Poznańska – tak jak wyglądała do 1945 r.). Są niezwykle staranne rysunki (np. nie istniejących już fortów Twierdzy Poznań), fotografie archiwalne i współczesne, modele schronów, a także medale, znaczki pocztowe i publikacje o tematyce fortyfikacyjnej. Całość – przemyślana i estetycznie skomponowana. Za najcenniejszy i najciekawszy eksponat pomysłodawca wystawy uważa windę amunicyjną z Fortu VIII. Pochodzi ona z końca XIX wieku i jest to prawdopodobnie jedna z ostatnich zachowanych wind amunicyjnych tego typu. Zbigniew Inglot przyznaje, że „wyszabrował" ją ratując przed zniszczeniem. W ten sam sposób uchronił przed kradzieżą i przetopieniem na złom drzwi pancerne z kutej stali (2,5 cm grubości, 450 kg wagi). Przedmioty metalowe z poznańskich fortów systematycznie „znikają", a są to nierzadko jedyne już egzemplarze, nie do odtworzenia. Gromadząc od dawna eksponaty z myślą o mającym powstać muzeum, pan Zbigniew zdążył ocalić ostatnie zachowane drzwi do windy amunicyjnej – drewniane, obite blachą miedzianą.

W przygotowaniu wystawy uczestniczyli: Zbigniew Inglot – pomysłodawca i główny realizator, autor zdjęć i makiet; Joanna Szłapka, Przemysław Jurkiewicz, Jacek Jaworski, Andrzej Gawlak, Michał Budnik, Marek Ratajczak, Wojciech Waraczyński, Wojciech Kmieć – zdjęcia; Jacek Biesiadka – rysunki; Mariusz Wojciechowski – rysunki i makieta; Bogna Zawadzka, Zenon Górecki – makiety. Zbigniew Inglot podkreśla, że w zorganizowaniu ekspozycji pomocą i życzliwością służyli również dyrektor Wielkopolskiego Muzeum Walk Niepodległościowych Maria Strojnowska, kierownik Muzeum Uzbrojenia – Cytadela Poznańska Jan Wieczorek oraz pracownik tej placówki Michał Lamch.

Warto zwiedzić tę interesującą wystawę. Jeśli będziecie w Poznaniu, zajrzyjcie koniecznie na Cytadelę. I zwróćcie uwagę na oryginalne fotografie współczesnych załóg fortów...

Maria Wiatrowska

Po wystawie oprowadzał podpułkownik Zbigniew Inglot
fot. ODKRYWCA

Ile takich zabytkowych już drzwi pancernych trafiło na złomowiska?...
fot. ODKRYWCA

Ocalona od zniszczenia i pieczołowicie zmontowana winda amunicyjna
fot. ODKRYWCA

Lubuskie Muzeum Wojskowe

Lubuskie Muzeum Wojskowe w Zielonej Górze z siedzibą w Drzonowie powstało w 1985 roku. W jego zbiorach znajduje się ponad 3 tysiące eksponatów związanych z historią wojskowości powszechnej i polskiej od średniowiecza do czasów nam współczesnych. Stałe ekspozycje: „Broń dawna", „Żołnierz Polski 1914-1945" (z unikatową częścią poświęconą kobietom-żołnierzom), „Wojsko Polskie po 1945 r.", „Gabinet myśliwski". Poza tym można oglądać eksponaty na wystawie plenerowej i pawilonowej. Lubuskie Muzeum Wojskowe posiada dwie liczące się kolekcje: lotniczą (w tym 22 samoloty i 5 śmigłowców) oraz ciężkiego sprzętu wojskowego (ponad 150 obiektów). Warto również zwiedzić miniskansen fortyfikacyjny.

Lubuskie Muzeum Wojskowe
Drzonów 54
66-014 Letnica
tel./fax (068) 321 18 29
tel. (068) 321 18 56

Lotniska II Rzeczypospolitej

Kiedy w 1918 r. Naród wezwany przez Wodza porwał za broń, by wywalczyć swą niepodległość i mieczem wytyczyć granice, skrzydła obrońców powietrznych były najsłabszą częścią wojska. Mściła się długoletnia niewola, która zatrzymała rozwój nasz na polu lotniczym. Nie było własnych fabryk, szkół lotniczych, instytutów naukowych i tych wszystkich czynników, które by zapewniały należyty rozwój lotnictwa i możliwość produkcji własnych samolotów.

Był wyszkolony w wojskach zaborczych pilot obserwator i mechanik, ale nie było samolotów i sprzętu pomocniczego. Lotnicy stanęli z zapałem na wezwanie Wodza. Ze starych nieużytków pozostawionych przez zaborców, sklecono naprędce, jak tylko się dało, niewielką ilość samolotów, zorganizowano kilka eskadr i wysłano je na front. Samoloty przybyłe z Francji z utworzoną tam armią polską i zakupy zagraniczne trochę poprawiły sytuację, nie na tyle jednak, aby zaspokoić potrzeby frontów. W najlepszym okresie mieliśmy 20 eskadr lotniczych jednak niekompletnych, bo stale brakowało samolotów. Rok 1920 wykazał pełną wartość lotnictwa, jako broni nadzwyczaj skutecznej nieodzownej w działaniach wojska lądowego. Lotnictwo dwoiło się i troiło, dawało maksimum wysiłku...

Powyższy tekst pochodzi z bogato ilustrowanej pracy zbiorowej pod tytułem „Piętnastolecie L.O.P.P." Praca została wydana w roku 1938 i była podsumowaniem działalności Ligi Obrony Powietrznej Państwa (później Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej), powstałej na terenie kraju w 1923 roku. Jako pierwsze utworzono komitety wojewódzkie LOPP w Poznaniu, Toruniu, Lublinie i Warszawie. W stadium organizacji znajdowały się komitety w Katowicach, Łodzi, Kielcach, Lwowie i Wilnie.

Program LOPP zawierał następujące punkty:

1. budowa Instytutu Aerodynamicznego,
2. szkolenie pilotów,
3. szkolenie mechaników lotniczych,
4. budowa lotnisk i hangarów,
5. szerzenie oświaty lotniczej,
6. popieranie lotniczo-naukowych badań teoretycznych i praktycznych.

W dniu 10 lutego 1927 roku nastąpiło połącznie zarządów głównych Ligi Obrony Powietrznej Państwa z Towarzystwem Obrony Przeciwgazowej istniejącym od 1922 roku. Organizacja przyjęła nazwę Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej.

W roku 1927 kontynuowano rozbudowę lotnisk w Poznaniu, Brześciu nad Bugiem, Bydgoszczy, Katowicach, Warszawie (Okęciu), Zamościu, Częstochowie, Tarnopolu, Radomiu, Wilnie, Lwowie i Krakowie. Rozpoczęto prace na terenach przeznaczonych pod lotniska i lądowiska w Ciechanowie, Włodawie, Kielcach, Baranowiczach, Radomsku, Mołodecznie, Brodach, Ostrowiu i Jarocinie. Wybudowano hangary i inne urządzenia lotniskowe na lotniskach w Łucku, Lwowie, Wilnie, Katowicach, Poznaniu i Łodzi. Wyszkolono pewną liczbę fachowego personelu lotniczego dla lotnictwa cywilnego i stworzono rezerwy dla lotnictwa wojskowego. Były to głównie zadania wykonywane przez LOPP. Wydano na nie 2 536 313 złotych, zebrane dzięki ofiarności społeczeństwa.

W latach następnych LOPP rozwiązała swoją działalność. Początkowe plany szkolenia pilotów we własnym zakresie uległy zmianie. Utworzona z inicjatywy Ligi szkoła pilotów przy fabryce lotniczej „Samolot" w Poznaniu, w której szkolenie odbywało się na koszt LOPP, przestała istnieć. Szkoła pilotów w Radomiu, wybudowana kosztem 700 000 złotych, na życzenie władz została oddana lotnictwu wojskowemu. Szkoły w Łodzi i w Łucku spełniały swoją funkcję jako szkoły wojskowego przysposobienia lotniczego i prowadziły je władze wojskowe. Rezygnacja LOPP ze szkolenia pilotów we własnym zakresie umotywowana była powstaniem aeroklubów, które przejęły to zadanie.

Do wybuchu drugiej wojny światowej obszar całej Polski został pokryty całą siecią lotnisk użytkowanych przez wojsko, aerokluby i Polskie Linie Lotnicze LOT. Mapa ukazuje stan rozbudowy lotnisk prawdopodobnie na początek roku 1938. Przedwrześniowa armia posiadała część pułków lotniczych rozmieszczonych na następujących lotniskach:

– 1 Pułk Lotniczy zajmował lotnisko Okęcie, gdzie również znajdował się cywilny port lotniczy oraz zakłady produkujące samoloty bombowe PZL-37 Łoś. Obecnie Okęcie to międzynarodowy i krajowy port lotniczy oraz port wojskowy przeznaczony do obsługi delegacji rządowych.

– 2 Pułk Lotniczy stacjonował na nie istniejącym dziś lotnisku Rakowice (Kraków). Dzisiaj teren jest zabudowany, a w wydzielonej części znajduje się Muzeum Lotnictwa i Astronautyki.

– 3 Pułk Lotniczy został utworzony na lotnisku Ławica (Poznań). Lotnictwo jest cywilne nadal, a wykorzystuje je 17 eskadra lotnicza wspólnie z LOP-em. Z dawnych czasów pozostało kilka budynków koszarowych wzniesionych przez Prusaków oraz dwa drewniane zabytkowe hangary.

– 4 Pułk Lotniczy stacjonował na podtoruńskim lotnisku wspólnie z batalionem balonowym. Obecnie gospodarzem lotniska jest Aeroklub Toruński.

– 5 Pułk Lotniczy zajmował 2 lotniska: Porubanek koło Wilna oraz drugie w mieście Lida.

– 6 Pułk Lotniczy znajdował się na lotnisku Skniłów na przedmieściu Lwowa.

Jedyny Morski Dywizjon Lotniczy, posiadający w uzbrojeniu wodnosamoloty, zajmował lotnisko w Pucku. Po wojnie nie było ono używane i obecnie nie istnieje. Zniknęło również lotnisko Gdynia-Rumia, które w okresie międzywojennym było lotniskiem sportowym. Próżno szukać śladów lotniska w Grudziądzu, a przecież tam piloci myśliwscy przechodzili szkołę wyższego pilotażu. Bydgoszcz to miejsce, gdzie szkolono strzelców pokładowych oraz spadochroniarzy. Po wojnie lotnisko żyło przez wiele lat jako wojskowe. Tam w latach 1952-53 stacjonowała dywizja bombowa, która właśnie w Bydgoszczy otrzymała samoloty odrzutowe IŁ-28. Później były tam Su-7, a obecnie latają tylko samoloty sportowe.

Wysoką rangę otrzymało przedwojenne lotnisko sportowe w Inowrocławiu, gdzie do dzisiaj stacjonuje pułk śmigłowców. Nadal tętni życiem Dęblin szkoląc nowe kadry personelu latającego. W latach trzydziestych Dęblin wraz z Radomiem, Ułężem i Podlodowem stanowił węzeł lotniskowy dla Centrum Wyszkolenia Lotnictwa Nr 1. Na krótko przed wojną powstało CWL Nr 2 na bazie dwóch lotnisk w Krośnie i jednego w Moderówce (tej ostatniej – jak również Ułęża i Podlodowa – brak na mapie). Krosno było największym po Okęciu lotniskiem w Polsce. Prawie całkowicie zniszczone w wyniku działań wojennych, zostało odbudowane i jest bazą remontową samolotów sportowych oraz siedzibą Aeroklubu Padkarpackiego. Jako uczestnik kursu szybowcowego w Łękach Strzyżowskich, latem 1946 roku brałem udział w odgruzowywaniu lotniska. W pobliżu wysadzonych w powietrze hangarów i innych budynków lotniskowych leżały jeszcze wraki niemieckich samolotów. Aeroklub nosił nazwę Krośnieńskiego i dysponował wtedy zawrotną liczbą trzech samolotów typu Po-2 czyli „kukuruźników".

Przetrwały zawieruchę wojenną i służą do dzisiaj lotniska aeroklubowe w Łodzi, Zamościu, Białymstoku, Częstochowie, Kielcach i Katowicach. To ostatnie jest wykorzystywane przez Polskie Linie Lotnicze LOT.

Zniknęły lotniska w Warszawie na Gocławku i Mokotowie, w Sandomierzu, Łomży, Dębicy i Brześciu Małaszewiczach.

Wybuch drugiej wojny światowej przerwał brutalnie dynamiczny rozwój lotnictwa w kraju. Historia wykorzystania lotnisk polowych we wrześniu 1939 roku, chociaż trwała krótko, jest dość obszerna i wymaga odrębnego opracowania. Zakończył się pierwszy etap rozwoju polskich skrzydeł odlotem z lotnisk Podola do Rumunii. Nasi lotnicy, walcząc nadal z okupantem, startowali z lotnisk we Francji, Anglii i Włoszech. Nie brakło ich nawet w Afryce, ale to całkiem inna historia...

Zbigniew Inglot

Wszystko jest możliwe

ROZMOWA Z ROMUALDEM KOPERSKIM

W 1994 roku odbył pierwszą w historii wyprawę samochodową z zachodu na wschód Syberii. (Patrz: „Odkrywca" nr 2/98.) Stwierdził, że teraz będzie jeździł już tylko na Syberię, ponieważ odkrył dla siebie kraj niezwykły i nieskończenie piękny.
16 maja ubiegłego roku ruszył gumowym pontonem w dół rzeki Leny. Wszyscy specjaliści dowodzili, że to absurdalny, wręcz samobójczy pomysł. Romek dopłynął do ujścia. Pokonał 4280 kilometrów. Trzy miesiące i kilka dni od zejścia na wodę dotarł do portu w Tiksi. Niewiele brakowało, a zostałby tam na czas bliżej nie określony, gdyż... aresztowano go pod zarzutem szpiegostwa. Poza tym groziła mu amputacja zgangrenowanej nogi. Szczęście go jednak nie opuściło. Wrócił. Nie na długo. Syberia jest taka ogromna i piękna...

– Ktoś przed Tobą spłynął Leną od źródeł do ujścia?

– Miejscowi spływali regularnie z drewnem z Uskut – to dwie trzecie rzeki – ale na pewno nikt nie przepłynął całej trasy sam gumowym pontonem.

Lena ma cztery tysiące czterysta pięćdziesiąt kilometrów. Zszedłem na wodę sto kilometrów poniżej źródeł, bo wcześniej po prostu nie dało się zwodować pontonu – za płytko. Potem jeszcze przez tysiąc kilometrów musiałem uważać, żeby nie przytrzeć o dno. Na długości gdzieś tysiąca trzystu kilometrów można Lenę przejść w poprzek. Rzeka kończy się przy Półwyspie Bykowskim, zaznaczonym tylko na dokładnych mapach. Żeby się dostać do Tiksi leżącego nad Morzem Łaptiewów, trzeba opłynąć ten półwysep. To już jest właściwie odcinek morski, musiałbym kilkadziesiąt kilometrów płynąć na wiosłach. Dosyć się nawiosłowałem na górnej Lenie, poza tym miałem chorą nogę, więc załadowałem się na barkę.

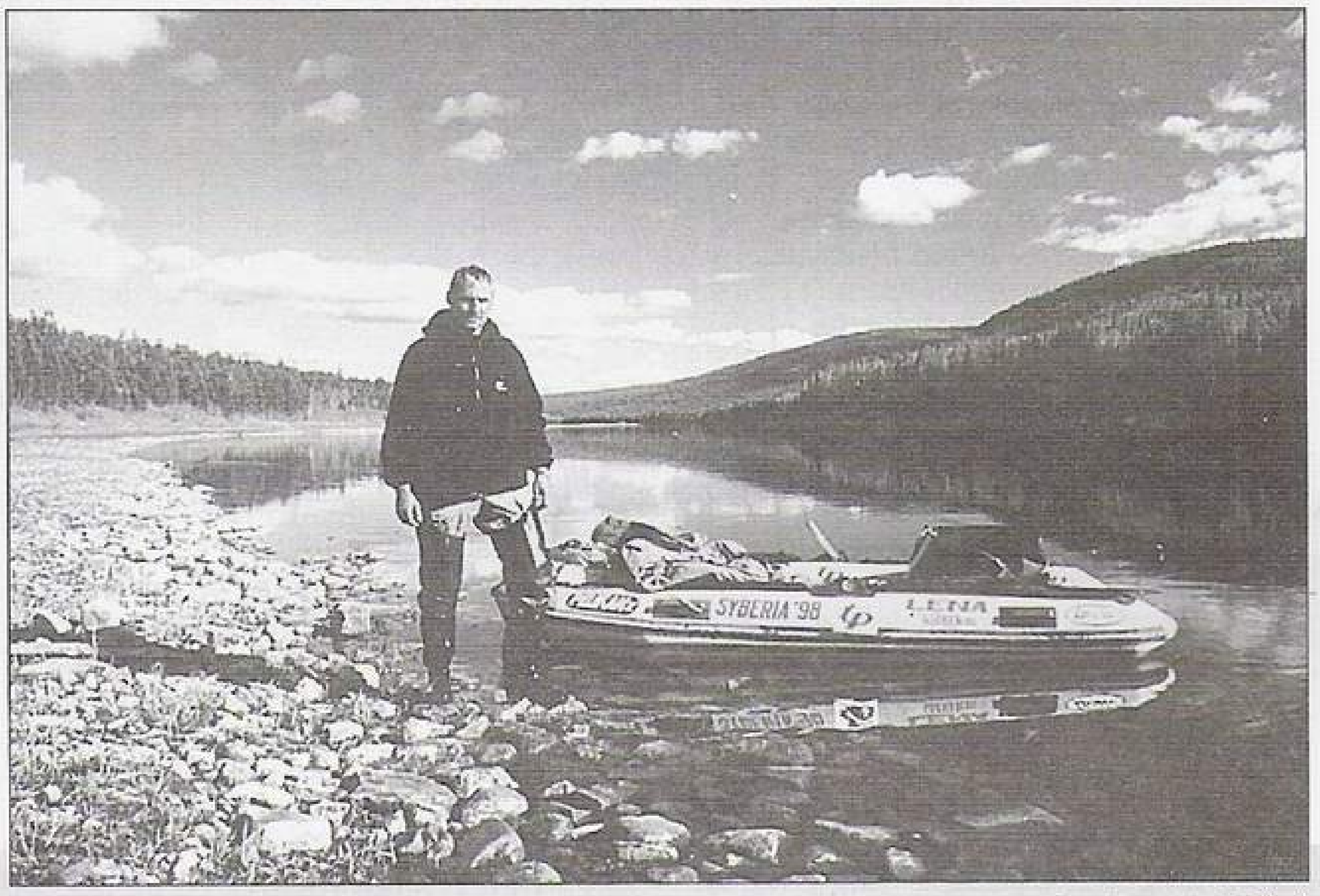

Romek, ponton i Syberia
fot. Romuald Koperski

– Czym ta wyprawa różniła się od poprzedniej? Pomijam, oczywiście, środek lokomocji.

– One się różniły diametralnie! Wtedy miałem zawsze dach nad głową i żywność. Teraz nocowałem na zewnątrz, marzłem, mokłem, głodowałem... Zupełnie inaczej.

– Co Cię najbardziej zaskoczyło?

– Byłem świadom różnych trudności, więc nie przeżyłem jakiegoś szczególnego zaskoczenia. Nie wiedziałem jednak, że pierwsze tysiąc kilometrów zrobię na wiosłach, bo Lena tam prawie stoi w miejscu. Przed wyprawą nie znalazłem żadnych źródeł na ten temat. Po drugie – nie myślałem, że aż tak bardzo głodno mi będzie. Nie miałem pojęcia, że w górnej Lenie ryby nie występują. Cały mój zapas żywności składał się z kawy, herbaty, cukru (wszystkiego o wiele za mało), czterdziestu zupek w proszku i sucharów z dwóch chlebów. Wypłynąłem w takiej porze, kiedy jeszcze nie było w tajdze owoców ani grzybów. Nie miałem broni, żeby coś upolować. W najgorszym okresie, kiedy nie trafiłem po drodze na żadną wioskę, przez cztery dni nic nie jadłem, piłem tylko wodę z Leny. Schudłem prawie trzydzieści kilogramów. W Leńsku spotkałem statek na redzie i dostałem wałówkę. Potem pojawiły się już ryby – w dole rzeki można je łowić na łyżkę do mieszania herbaty i to takie wielkie sztuki, że strach wyciągać. W tajdze dojrzała brusznica, porzeczka, był dziki czosnek, cebula...

– Dlaczego nie zabrałeś ze sobą jedzenia?

– Nie chciałem taszczyć z Polski, więc wziąłem pieniądze, żeby kupić w Rosji jakieś puszki, chleb i tak dalej. Ale oskubano mnie na lotnisku w Moskwie; musiałem zapłacić za nadbagaż pontonu. Ważył – bez podłogi i dodatków – przeszło siedemdziesiąt kilogramów, a przepisy rosyjskie mówią, że można zabrać choćby dziesięć tobołków, jednak nie ważących więcej niż po trzydzieści pięć kilogramów. Proponowano mi, żebym przeciął ponton na pół. Chciano tysiąc dolarów łapówki. Ja wszystkiego miałem sto pięćdziesiąt dolarów. Gdybym ich nie oddał, mógłbym – zamiast do Irkucka – lecieć do domu. I w ten sposób zostałem bez kopiejki i bez jedzenia.

No, było ciężko. Kiedy tak bezczelnie chce się jeść, człowiek żuje sznurowadła, kawałek gumy, obojętnie co, byle tylko jakiś przetok śliny był.

– O czym wtedy myślałeś?

– O tym, żeby zjeść bułkę z żółtym serem, za którą ponton bym oddał i inne rzeczy. Wyobrażałem sobie, że będzie taki dzień – pójdę do sklepu i tego wezmę dwadzieścia deko, tego dwadzieścia deko... Wtedy to była abstrakcja.

Jestem pewien, że człowiek z głodu może zabić.

– Pogoda też Cię nie rozpieszczała...

– Na początku miałem wichury, w dzień deszcze i śnieżyce, w nocy mróz. Prawie miesiąc płynąłem w zimnie. Woda w metalowym kubku przez noc zamarzała. Do spania zdejmowałem najwyżej buty. Lena płynie między górami niemal do samego Jakucka. Specyfika tych wiatrów górskich polega na tym, że dwie godziny wieje z południa, dwie godziny z północy. Jak masz wiatr od dziobu, to po prostu stoisz w miejscu. Dryfkotwa pomaga tyle, że się nie cofasz. Nie było sensu walczyć. Nieraz dwa dni siedziałem na brzegu. Wszystko to razem trochę stapiało optymizm, z którym wyruszałem.

Kiedy rozpętał się sztorm, przez trzy doby nie schodziłem z pontonu. Najpierw próbowałem jeszcze coś zrobić, podpłynąć do brzegu – gdzie tam! Wiosła do środka, pokrowiec zawiązałem i do widzenia. Wiatr wiał – w porywach – z prędkością pięćdziesięciu metrów na sekundę, czyli – jak łatwo obliczyć – stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. W ogóle nie wiedziałem, gdzie jestem, bliżej lewego czy prawego brzegu. Wiało z każdej strony i nic już ode mnie nie zależało. Wpłynąłem do „truby" (z sześćdziesięciu kilometrów Lena zwęża się do dwóch – trzech), było już głęboko i długa fala – jak na oceanie. Wynosiła mnie wolno, wolno do góry na pięć, sześć metrów i raptem... na dół! Nie walczyłem. Leżałem w pontonie i czekałem.

– Miałeś taki moment, gdy myślałeś, że możesz nie wyjść z tego cało?

– Tak, przez jakąś minutę. Pomyślałem wtedy: „Ja pier...! Teraz to już jest po wszystkim. Ale głupio zdychać tutaj, tak blisko..." Zostało mi wtedy pięćset kilometrów.

Gdyby ten sztorm rozpętał się na samym początku wyprawy, to pewnie zawału serca dostałbym ze strachu, ale po miesiącu płynięcia znałem ponton, jakby to była część nogi, wiedziałem, gdzie mogę

DOKOŃCZENIE NA STR. 10

DOKOŃCZENIE ZE STR. 9

Wszystko jest możliwe

stąpnąć, nie bałem się. Czułem, że nic się nie stanie. Tylko było po prostu wkurzająco – dwadzieścia cztery godziny minęły i jeszcze ten sztorm, i nic do jedzenia, żeby chociaż landrynka... A gdyby czekolada! Ojej!... I tak siedemdziesiąt parę godzin, z czego trzydzieści osiem przeleżałem na dnie pontonu.

– Zakłócę na chwilę tę prawie morską romantykę; jak załatwiałeś w tym czasie potrzeby fizjologiczne?

– Siusiu przez jedną burtę, kupa przez drugą.

– Używałeś papieru toaletowego?

– Po co? Woda jest.

– Kiedy skończyły się zimna i wichury?

– Dziesiątego czerwca. I zaczął się upał.

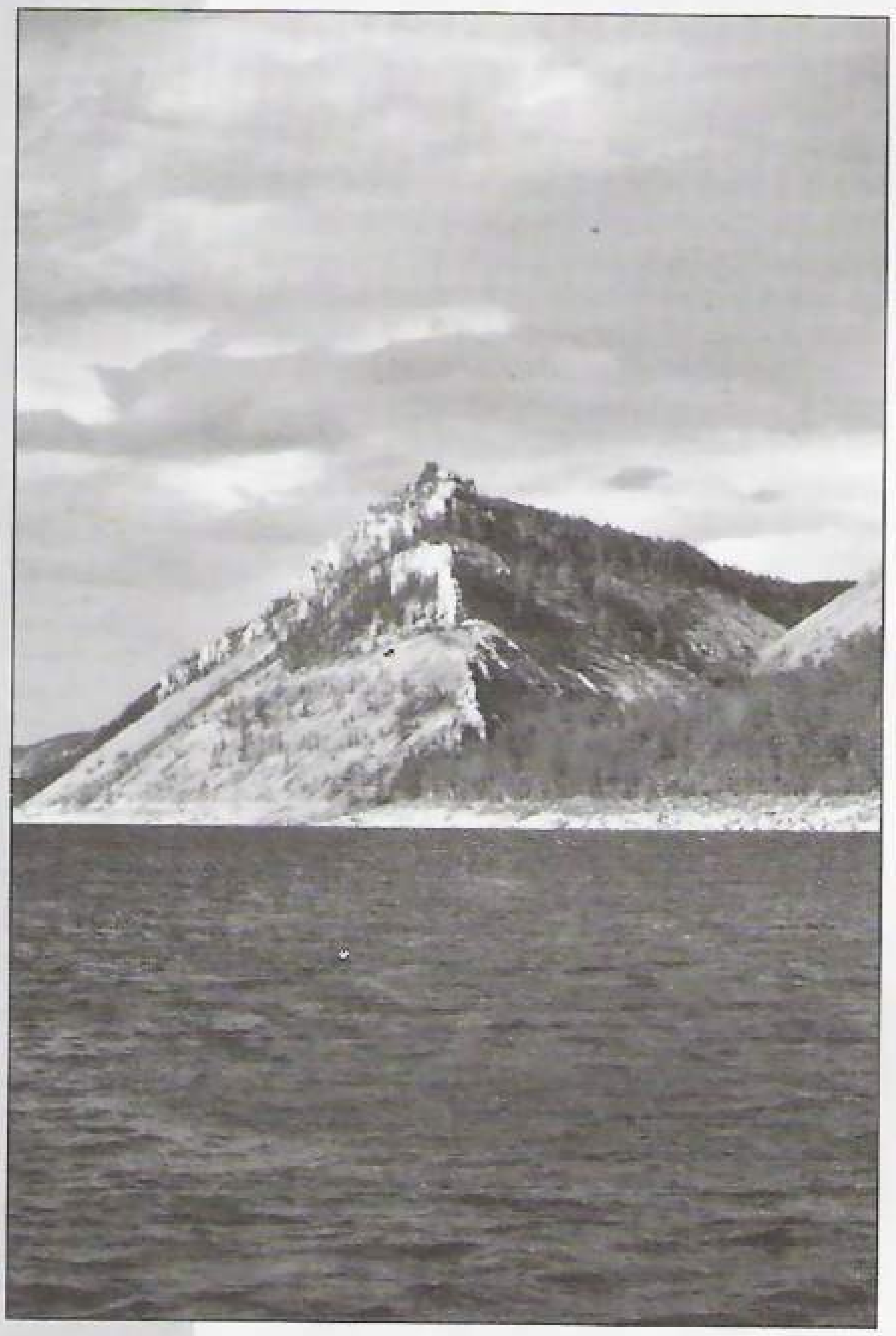

Za każdym zakrętem inny krajobraz... **fot.** Romuald Koperski

– Jak to – tak od razu?

– Właśnie. Poprzedniego dnia – mróz, rano obudziłem się – słońce. Ledwie wypłynąłem, musiałem się rozbierać, a za pół godziny siedziałem już na golasa i było za gorąco. Takie nagłe zmiany są typowe dla klimatu kontynentalnego.

Razem z „żarą" pojawiły się komary. Zauważyłem ciekawą rzecz: jak wiatr wieje od lądu, to na wodzie jest mniej komarów. Zastanawiałem się, dlaczego. Przecież powinno być odwrotnie. Okazuje się, że komar ma tyle rozumu, że przylatuje pusty pod wiatr, potem nażre się twojej krwi i pełny ulatuje sobie z wiatrem. W sumie nie było tak źle – przed snem trochę dymu na namiot, szybka akcja i do środka.

– Z czego składało się Twoje wyposażenie?

– Zabrałem około dwustu kilogramów bagażu. Ponton gumowy z „Delfy" – standardowy, taki jak idzie na sprzedaż: trzy metry trzydzieści centymetrów długości, powierzchni użytkowej półtora metra, drewniana podłoga, drewniana ławeczka. Tylko dulki dorobili. Miałem dwa wiosła. Wszystko razem ważyło ponad sto kilogramów. Poza tym wziąłem plecak, namiot, śpiwór, mały garnek do gotowania wody, kubek półlitrowy, siekierkę, nóż, widelec, wędkę, dużą paczkę zapałek (dziesięć pudełek). To chyba wszystko. Aha, oczywiście aparat fotograficzny i trzydzieści filmów. O jedzeniu już mówiłem.

– A ubranie, rzeczy osobiste? Miałeś jakiś specjalny strój?

– Dwie pary skarpetek – o jedną za dużo, dwie pary majtek, dwie podkoszulki, sweter, kurtkę polarową z kapturem, spodnie wojskowe – moro, które zostały mi z poprzedniej ekspedycji, sandały, trampki i kalosze-wodery. Te się przydały najbardziej. Przez pierwsze trzy tygodnie w ogóle ich nie zdejmowałem. Sam byłem zdziwiony, że nogi mi się nie odparzyły. Doskonale spełnił swoją funkcję strój nieprzemakalny z LM-u, idealnie. Kiedyś trzy dni płynąłem w ulewnym deszczu.

– Z jakiej mapy korzystałeś?

– Z „milionki" – jeden centymetr odpowiadał dziesięciu kilometrom. Tylko na odcinku od Witimia do Jakucka miałem bardzo dokładną mapę, którą dostałem do ludzi mieszkających na brzegu. Wyciągnęli ją z jakiegoś wraku. Śledząc tę mapę wiedziałem niemal, co zobaczę za kolejnym zakrętem, to nie było ciekawe.

– Wziąłeś ze sobą coś, co okazało się zbędne?

– Miałem tak mało, że nie sposób było którejś z tych rzeczy nie zabrać. Powiedzmy, że niepotrzebnie wziąłem dwie kostki mydła. Nie zużyłem nawet jednej.

– Nie myłeś się, nie prałeś?

– Nie... Komu by się chciało?! Było zimno, wilgotno – gdzie w takich warunkach mowa o myciu?! Nie znam ludzi, którzy by jeździli na wyprawy i codziennie się myli. Później, jak nastała „żara", kąpałem się, jasne, ale żeby specjalnie dbać o higienę osobistą – nie... Człowiek po prostu nie odczuwa takiej potrzeby.

– Czego Ci zabrakło?

– Papierosów i kawy przede wszystkim, żywności. Powinienem mieć więcej cukru, herbaty, suchary z chleba, jakieś puszki mięsne, mleko skondensowane, czekoladę. Przydałyby się cieplejsze spodnie. Nie zabrałem kremu do rąk, co okazało się fatalne w skutkach, bo od wiatru i wody miałem tak popękaną skórę, że każde zgięcie dłoni było problemem. Wystarczyłby jakikolwiek krem, wazelina. Teraz wziąłbym rękawiczki z pianki, takie jakich używają płetwonurkowie. One są przemakalne, ale utrzymują stałą temperaturę, to jest tak zwany mokry strój. Brakowało mi kapelusza z wielkim rondem i jakąś płachtą z tyłu zakrywającą kark. Wprawdzie wziąłem krem do opalania, bo zdawałem sobie sprawę, że na wodzie słońce silnie operuje, ale on nic nie dał – w jeden dzień zostałem spalony, zeszła mi skóra z twarzy. Wielkim błędem było to, że nie miałem pokrywki na garnek. Po pierwsze trudniej zagotować wodę, a po drugie cały smród z ogniska, odpryski – wszystko wpadało do środka.

– O ile wiem, nie miałeś też karimaty.

– A była niezbędna. Po prostu nie miałem jej w domu i jakoś tak – machnąłem ręką... Racja, mogłem kupić, w końcu to tanie. Ale wiesz, z finansami było bardzo krucho... No – nie wziąłem. Początkowo ścinałem gałązki, żeby nie leżeć bezpośrednio na ziemi, ale i tak ciągnęło strasznie, bo przecież pod spodem – lód. Później w jakiejś wiosce podarowano mi kufajkę i na niej spałem.

– Namiot sprawdził się?

– Nie. Dostałem go w prezencie, więc wziąłem, ale to był namiot nadający się na pustynię – „nakomarnica" przykryta tropikiem. W środku hulał wiatr. Potem, w upale, kiedy temperatura w dzień dochodziła do czterdziestu stopni, a w nocy spadała do dwudziestu siedmiu – owszem, przydał się. Powinienem jednak mieć taki normalny, z podłogą.

– Co jeszcze zmieniłbyś w swoim ekwipunku, gdybyś miał powtórzyć tę ekspedycję?

– Nie brałbym pontonu, tylko plastikowy kajak – niezatapialny, nawet pod wiatr można płynąć, bagaż ładuje się na dziób, zamyka... Przydałaby się lornetka, latarka. Gdybym płynął o tej samej porze roku, na pewno zabrałbym broń – żeby móc polować, a przede wszystkim ze względów bezpieczeństwa. Nie chodzi o zagrożenie ze strony ludzi, bo takie tam nie istnieje, tylko ze strony niedźwiedzi. Powinienem też mieć psa, który by mnie ostrzegał przed niedźwiedziem; misio potrafi się skradać w odległości trzech metrów i nawet gałązka pod nim nie strzeli.

– Zdarzyło Ci się bliskie spotkanie z niedźwiedziem?

– Widziałem, jak szedł w moją stronę, ale nie gonił mnie. Gdyby chciał dogonić, to skradałby się i ja bym o tym nie wiedział. A potrafi biec z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. W każdym razie przez trzy tygodnie nie miałem pojęcia, co mi grozi. Dopiero jak mi to uświadomiono... To były straszne noce. Kto by się nie bał?

– Wróćmy do Twojego ekwipunku. Miałeś lekarstwa?

– Tak, ale nie potrzebowałem ich. Powinienim mieć tylko środki opatrunkowe. Wziąłem, oczywiście, tyle że krótko przed końcem wyprawy wszystkie oddałem ludziom, którzy mnie gościli, a sto kilometrów dalej – zwykłe skaleczenie i... Cud, że mam nogę, cud, że w ogóle wyszedłem z tego cało. Dopiero teraz lekarz mi powiedział, że nie widział żadnej szansy. A wszystko przez to, że zdarłem strup i założyłem brudne spodnie. Gdybym chociaż osikał ranę, już byłby środek dezynfekujący, a tak – wdała się gangrena.

– Po doświadczeniach syberyjskich – jak oceniasz podręczniki surwiwalowe?

– Może to się do czegoś nadaje, ale nie na Syberii. Przy takich wiatrach jak tam niech mi jakiś autor ognisko rozpali i wodę zagotuje. Owszem, może i da się rozpalić, ale całe ciepło ucieka. Stawianie osłon?! O czym Ci ludzie piszą?! Na plaży – to można postawić parawan, ale przy syberyjskich huraganach osłona musiałaby być chyba wielkości bloku i długa jak pięć bloków. Piszą, żeby codziennie prać skarpetki, dbać o higienę... Bzdura, już ci o tym mówiłem. Wypisują coś o roślinach, które trzeba żuć, ale nie przełykać soku. Nie wiem, skąd to się bierze. Kto w ekstremalnych warunkach o takich rzeczach będzie myślał? Te

wszystkie rady... Nie wiem, dla kogo one są, bo na pewno nie dla ludzi, którzy jadą na Syberię, a takim, co giną w naszych górach po dwóch dniach zamieci, to żadne podręczniki nie pomogą.

– Jak wyglądał Twój zwykły dzień na wyprawie?

– Przeciętnie wstawałem o ósmej – dziewiątej, rozpalałem ognisko, nastawiałem wodę, zwijałem obóz, wszystko znosiłem do pontonu. Woda się zagotowała, dodawałem chemiczną zupkę, suchary

Obserwacja życia ludów mieszkających nad Leną to podróż w czasie
fot. Romuald Koperski

(dopóki były), zjadałem, myłem kubek, gasiłem ogień i w drogę. Płynąłem do południa. Około trzynastej przybijałem do brzegu, rozpalałem ognisko i wypijałem herbatę z cukrem. Później znalazłem starą puszkę po „tuszonce", zrobiłem z niej piecyk i mogłem gotować wodę na pontonie, płynąc sobie z nurtem. Koło dwudziestej trzeciej zaczynałem szukać miejsca na obóz. Różnie z tym było. Czasem dopiero o drugiej znajdowałem cokolwiek, a czasem wcale, bo wszędzie błoto i kamienie albo skały. Wtedy spałem na łodzi. Kiedy nastąpiły białe noce, celowo nie schodziłem na ląd. Słońce praktycznie nie zachodziło i mogłem płynąć.

Lubiłem siedzieć przy ogniu długo w noc, w ciszy, dokładając drewna...

– W ilu miejscowościach na trasie byłeś?

– W początkowym biegu zatrzymywałem się prawie w każdej wiosce, czyli co pięćdziesiąt – siedemdziesiąt kilometrów. Wielu z nich w ogóle nie ma na mapie. Od Jakucka do ujścia – sytuacja odwrotna: na mapie są miejscowości, ale ja trafiłem tylko na cztery. Po prostu one są dziesięć kilometrów od rzeki, a ja często nie wiedziałem w ogóle, gdzie jest brzeg, bo Lena rozlewa się tam na szerokości sześćdziesięciu kilometrów! To, co brałem za ląd, okazywało się na przykład trzydziestokilometrową wyspą, tak że pierwsza miejscowość za Jakuckiem to był Sangar, potem długo, długo nic i dopiero za kręgiem polarnym – Żygańsk. Zdarzało się więc, że przez tydzień i więcej nie widziałem człowieka.

– Z poprzedniej ekspedycji zostało Ci wspomnienie niezwykłej serdeczności i gościnności Sybiraków. Jak było tym razem?

– Tak samo! Wspaniale. Od tych ludzi tchnie takie ciepło... Wszystko ci objaśnią, pokażą, zajmą się tobą, ale nie w sposób natarczywy. Oddadzą wszystko, co mają do dania. Na pewno wśród nich czułem się lepiej niż czuję się tutaj, w Polsce. Jeżeli Bóg naprawdę istnieje, to tylko tam go czułem. Mieszka w tych chatach.

Na trasie spotkałem Buriatów, Ewenów, Ewenków, Jakuagirów, Jakutów. Przy okazji dowiedziałem się, że nie ma Tunguzów, chociaż o takiej narodowości pisze się w wielu publikacjach. Tunguzi to są Eweni, którzy mieszkają nad rzeką Tunguzką.

Wszyscy ci ludzie w wioskach żyją tak, jak żyli ich przodkowie pięćset lat temu – polują, łowią ryby, zbierają owoce w tajdze, gromadzą drewno na opał. Mąkę dostają z handlu wymiennego, zresztą bardzo „sprawiedliwego" – kilogram mąki za dziesięć kilo jesiotra. Nie mają herbaty, piją „cziagę" – to czarna narośl w kształcie kuli, która rośnie na brzozie (nie mylić z hubą). Wystarczy uderzyć i odpada. Myje się, wrzuca do wrzątku na dziesięć minut i można pić. Smak i kolor herbaty, nie odróżnisz. „Cziaga" leży stosami w chatach, jak węgiel. To znane w medycynie ludowej lekarstwo antyrakowe. W Polsce też rośnie.

Ludzie, których spotykałem, żyją biednie. Tajga ich utrzymuje. Grzyby, jeśli występują, to jest ich tyle, że nie można chodzić, bo się człowiek ślizga. Charakterystyczne, że albo jest ich taka masa, albo nie ma wcale. Owoce zawierają w sobie tyle cukru i takie składniki, że wystarczy zagotować, bez słodzenia, i są zakonserwowane, nie spleśnieją. Grzyby się suszy albo soli, ale solą naturalną, nie jodowaną.

Ciekawa rzecz – za kołem polarnym nie ma nic trującego – ani roślin, ani grzybów. Wszystko tam jest jadalne. Kiedy mówiłem tamtejszym ludziom, że czegoś nie zjadłem, bo bałem się, że trujące, pukali się w głowę. Oni w ogóle nie rozumieją, że coś w przyrodzie może być trujące.

I jeszcze jedna ciekawa rzecz, z całkiem innej dziedziny. Płynę przez Uskut, patrzę – siedzą sobie ludzie na brzegu i czytają książki. W domach w tych wszystkich wioskach widziałem mnóstwo książek, najróżniejszych.

– W zestawieniu z tym, o czym mówiłeś wcześniej, brzmi to trochę egzotycznie...

– Ale tak jest, naprawdę! Za czasów Związku Radzieckiego po prostu dostawali książki darmo, rozwożono je razem z chlebem. Zanim u nas pojawiła się książka zachodnia, już była przetłumaczona na język rosyjski i wędrowała na Syberię.

Można by godzinami opowiadać o życiu w wioskach nad Leną. Ono toczy się zgodnie z rytmem przyrody. Żeby tych ludzi zrozumieć, trzeba nie tylko być z nimi, ale przestawić swoją mentalność, odrzucić wszystkie swoje przyzwyczajenia.

Dla mnie alternatywa wyjazdu na Syberię i zostania tam jest dobrą alternatywą. Nikt mi nie powie: „Koperski, wyślę cię za karę na Syberię". Gdyby mi powiedział, że muszę gnić tutaj przez całe życie – to by była kara. Słuchaj, chat opuszczonych tam jest pełno – piece, sprzęty, tylko pozamiatać i można mieszkać. Tajga wyżywi.

– Co Cię najbardziej zachwyciło?

– Przyroda. Cisza. Ptaki, których nigdy przedtem nie widziałem. Krajobrazy, za każdym zakrętem co innego. Bycie w tym wszystkim.

– Przydałaby się kamera...

– O Jezu! Piękny film byłby, cudowny! Nie zabrałem kamery, bo jej po prostu nie miałem. Zrobiłem za to tysiąc dwieście slajdów.

– Wystarczałeś sam sobie czy brakowało Ci kogoś, z kim można by ten zachwyt dzielić?

– Zależy kiedy. Czasami, wieczorem – brakowało. Żeby razem patrzeć, jak dwa kruki i młody bielik biją się o rybę, słuchać odgłosów z tajgi...

– Zrobiłeś coś, co wszyscy uważali za niemożliwe. Jak się czujesz z tą świadomością?

– Normalnie. Uważam, że wszyscy nie mieli racji. Najbardziej cieszę się, że udało mi się to zrobić w sposób konwencjonalny, bez „dżipi-esów" i innych bajerów. To właśnie było fajne, że nie wiedziałem, gdzie jestem i na nowo się odnajdywałem. Frajda.

– Będzie książka z wyprawy?

– Tak. Spisywałem spostrzeżenia, przemyślenia. Tam człowiek jest w innym świecie, trochę jakby w transie, nie tak rozbiegany myślami jak tutaj.

Ale najpierw wydam slajdy na płycie CD – „Tysiąc jeden obrazów Syberii". To będą najlepsze slajdy z około trzech tysięcy zrobionych podczas obu moich wypraw, czyli wzdłuż i wszerz Syberii. Z komentarzami, tematycznie: narody i folklor, krajobrazy, wody (ze szczególnym rozdziałem – Bajkał), gułagi – nieodłączna część tego kraju, poza tym cuda natury, o których świat nie wie. Cała informacja zawarta będzie w podpisach, w trzech językach. Myślę, że mam teraz jedyny na świecie taki zbiór slajdów z Syberii, ale żebym mógł powiedzieć, że mam komplet, brakuje mi jeszcze jakieś sto tysięcy zdjęć...

Rozmawiała Maria Wiatrowska

Bajkał. Temu wyjątkowemu zakątkowi świata Romek poświęcił osobny rozdział w albumie „1001 obrazów Syberii".
fot. Romuald Koperski

Serwis bra

Mieszkańcy Brodów opowiadają, że kilka lat po zakończeniu drugiej wojny światowej młody traktorzysta z miejscowego POM-u stoczył osobliwą walkę. Wystąpił mianowicie ze swoim ciągnikiem przeciwko... dużej porcelanowej wazie. Leżała na pałacowym dziedzińcu, a dzielny traktorzysta usiłował ją zmiażdżyć kołami. Za trzecim podejściem – zwyciężył. Co za radość zatriumfować nad nędzną resztką fortuny ostatniego właściciela pałacu w Brodach. Ta waza stanowiła część jednej z najsłynniejszych i najwspanialszych zastaw stołowych, jakie kiedykolwiek wyprodukowano w Europie: Serwisu Łabędziego.

Sygnatura Serwisu Łabędziego: dwa skrzyżowane błękitne miecze

Stał się legendą, zanim został ukończony. Swoją nazwę zawdzięcza powtarzającej się na większości naczyń płaskorzeźbie wyobrażającej parę łabędzi. Wykonano go w latach 1737-1741 w Miśnieńskiej Manufakturze Porcelany na zlecenie hrabiego Henryka Brühla, ministra na dworze króla Augusta III. Autorem i głównym realizatorem zamówienia był Johann Joachim Kaendler. Pierwsze naczynia zaprezentowano 17 kwietnia 1737 roku w Dreźnie podczas przyjęcia wydanego z okazji ślubu hrabiego Henryka Brühla z hrabianką Marią Anną Kollowrath-Krakowską. Wzbudziły zachwyt gości i wkrótce niezwykły serwis zyskał sławę w całej Saksonii. Handlowano nawet miedziorytami przedstawiającymi podziwianą powszechnie zastawę. Serwis Łabędzi, przewidziany dla stu osób, składał się z 2200 elementów – naczyń i uzupełniających je figurek. Był najwybitniejszym osiagnięciem Kaendlera – ogromnie utalentowanego i pracowitego artysty. Projektant sięgnął do tematyki mitologicznej. Kanwą jego pomysłów plastycznych stały się dzieje nieszczęśliwej miłości nereidy Galatei i pasterza Akisa. Forma naczyń i wszystkie zdobienia nawiązywały do szeroko pojętego żywiołu wodnego. Na naczyniach i figurkach kłębią się więc w rokokowym przepychu mitologiczni mieszakńcy mórz, rzek i strumieni, delfiny, wodne ptaki i roślinność, girlandy z muszli i kwiatów.

Początkowo Serwis Łabędzi znajdował się w pałacu Brühla w Dreźnie przy ulicy Augusta. Później przewieziono go do Brodów (Pförten). Około 1880 roku część serwisu trafiła do muzeów w Dreźnie i w Berlinie, część sprzedano kolekcjonerom. W okresie międzywojennym podjęto próbę zinwentaryzowania słynnej zastawy i stwierdzono wówczas istnienie jeszcze około 1400 obiektów. Znaczna ich liczba pozostała w śląskiej posiadłości hrabiego prawie do końca drugiej wojny światowej.

Od pierwszych miesięcy 1945 roku historia porcelowanego skarbu Brühlów potoczyła się według typowego dla tamtych czasów scenariusza. Najpierw pałac przeżył wizytę stacjonujących w Brodach wojsk radzieckich, potem pojawili się szabrownicy. Wśród tych ostatnich byli również znawcy, którzy świetnie wiedzieli, po co przyszli. Jak relacjonują świadkowie, szabrownicy bili się wydzierając sobie z rąk „łabędzią" porcelanę i – oczywiście – tłukąc przy tym część naczyń. Kiedy w Brodach byli jeszcze Rosjanie, zabawiali się podobno strzelaniem do waz, dzbanków, garnuszków – przecież należały do wroga...

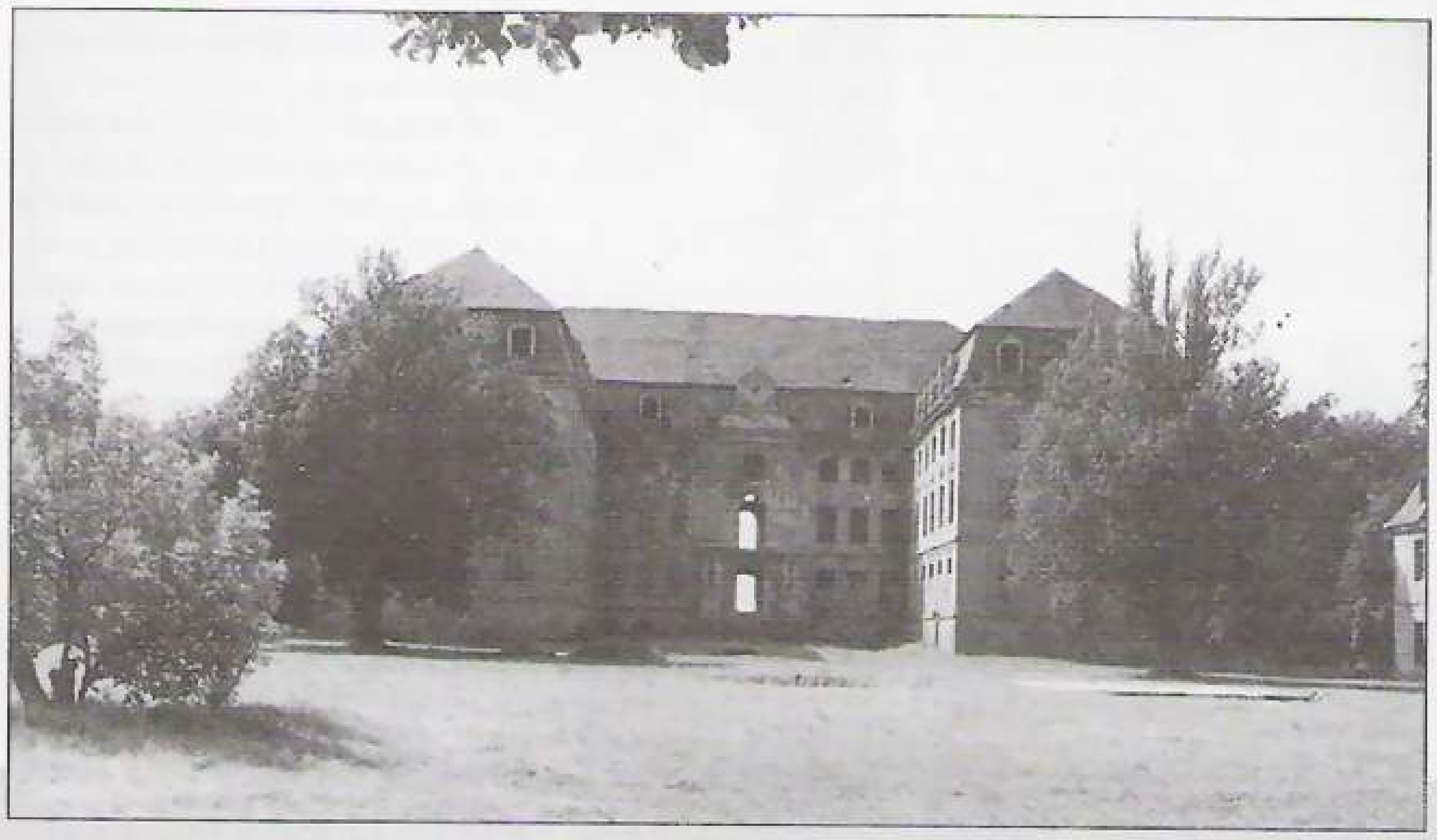

Pałac w Brodach – stan z 1998 r.
fot. Radosław Biczak

Posiadłość Brühlów otaczał wspaniały park. Z tarasu rozciąga się widok na jezioro.
fot. Radosław Biczak

Nie sposób stwierdzić, ile elementów Serwisu Łabędziego zostało do dzisiaj. Szacuje się, że poza granicami naszego kraju jest nie więcej niż czterysta egzemplarzy. W zbiorach polskich muzeów znajduje się nieco ponad sto, z czego prawie połowa – w Muzeum Narodowym w Warszawie. Obiekty ze słynnej zastawy są także w Muzeum Rzemiosł Artystycznych w Poznaniu, Muzeum w Rogalinie, w Państwowych Zbiorach Sztuki na Wawelu, Muzeum Narodowym w Gdańsku, muzeach w Łowiczu i Oporowie oraz w Muzeum Wnętrz Zabytkowych w Pszczynie. Nie wiadomo, ile „łabędzich" naczyń mają prywatni kolekcjonerzy. Nie wiadomo też, czy wszystkie, które były w Brodach, zostały rozgrabione bądź zniszczone, czy może właściciel zdołał część ukryć. Osoba, mająca zdolności określane umownie jako paranormalne, powiedziała:

Kariatydy podtrzymują jeszcze ruiny dawnej świetności
fot. ODKRYWCA

– W samym pałacu już nic nie ma. W jeziorze? Nie, raczej nie... Jeżeli, to pod bardzo grubą warstwą mułu. Wszystko było zgromadzone w lewej części pałacu, w piwnicach. Wyczuwam tam skrytkę – długi, wąski pokój podzielony na pół. Tam coś było. Gospodarz wyjechał, zabrał tylko walizkę, to co najwartościowsze. Ktoś po niego przyjechał. Zdarzyło się coś nieprzyjemnego...

Gdyby można odtworzyć losy rozproszonych po świecie cząstek serwisu Brühla, powstałaby z pewnością frapująca historia! A oto jeden z jej okruchów:

– W czterdziestym siódmym roku brat mojej matki był w wojsku na Ziemiach Odzyskanych, w okolicach Żagania – opowiada Włodzimierz Kubacki, bibliofil

...biego Brühla

i kolekcjoner. – W niedużej wsi Felden nad Nysą Łużycką stała sobie niepozorna chatka, a w niej jedna izba była załadowana aż po sufit porcelaną i żołnierze brali stamtąd, co chcieli. Pewien porucznik wywiózł do Łodzi dwa samochody pełne porcelany. Wujek też wziął trochę do plecaka. Podarował mojej matce cztery duże półmiski. Jeden matka dała swojej ciotce

Niegdyś piękny, bogaty, imponujący...
fot. Radosław Biczak

do Kazimierza Biskupiego, a ciotka karmiła z niego młode indyczki. Oczywiście – półmisek szlag trafił. Drugi na początku lat pięćdziesiątych pożyczyła matka na jakąś wieczorynkę do Ligi Kobiet i już nie wrócił. Zostały dwa. Było nas w domu sześcioro dzieci, więc na zimę kisiło się zawsze beczkę kapusty. Beczka nie miała dekla, a kapustę trzeba było czymś przykryć. Półmisek od wuja pasował wielkością, więc świetnie się nadał. Długo pełnił szczęśliwie tę funkcję, aż kiedyś kamień, którym się obciążało kapustę, stoczył się i obtłukł trochę brzeg.

Kiedy byłem w szóstej albo siódmej klasie, przeczytałem w szkolnym podręczniku o niejakim Böttgerze, alchemiku, który został zatrudniony przez Augusta II Sasa, aby wynalazł złoto. Naturalnie, złota nie wynalazł, ale że przy okazji korzystał z różnych glinek – odkrył porcelanę, rzecz wtedy równie cenną jak złoto. Dowiedziałem się z czytanki, że ta porcelana była znakowana dwoma błękitnymi mieczykami. W domu natychmiast obejrzałem nasze półmiski. Są dwa skrzyżowane błękitne mieczyki! Powiedziałem matce, że to na pewno cenna porcelana i odtąd mieliśmy półmiski w uszanowaniu – służyły do pączków.

Pod koniec lat sześćdziesiątych matka pojechała z moim bratem na wycieczkę zakładową do Kórnika. Podczas zwiedzania zamku brat nagle zawołał: „Ojej! Taki sam talerz jak ten, co myśmy nim kapustę w beczce przykrywali!" Cała wycieczka wybuchnęła śmiechem, myśleli, że to dowcip. Jakiś czas później brat – bez wiedzy matki – pokazał jeden z półmisków nauczycielowi ze swojej szkoły, który zbierał porcelanę. Nauczyciel chciał kupić, ale w końcu z jakichś powodów do transakcji nie doszło. Wkrótce mój sprytny braciszek – znowu, rzecz jasna, matka o niczym nie wiedziała – napisał o naszych półmiskach do Muzeum Narodowego w Poznaniu. Odpisali, że są zainteresowani i żeby przywieźć. Matka przejęła list i wzięła sprawę w swoje ręce. Pojechała z półmiskami do Poznania. (Oczywiście, nie miała pojęcia, że pochodzą z Serwisu Łabędziego i co to takiego ten serwis.) Zapytano, ile za nie chce. Zażądała pięciu tysięcy złotych, bo tyle miała długu. To było mniej więcej półtora wypłaty. Usłyszała, że zbierze się komisja zakupów i zdecyduje. I tutaj nastąpił, niestety, szwindel, bo oni mieli zakichany obowiązek powiadomić głupią babę, ile jest warta ta porcelana, tymczasem bez zmrużenia oka zgodzili się na cenę, którą rzuciła matka. Został mi gdzieś w archiwum ten list z muzeum, że się zgadzają, a gdyby matka miała jeszcze coś, na przykład stare tkaniny albo inne rzeczy, to bardzo chętnie kupią.

I to już koniec historii. Mam tylko satysfakcję, że moje półmiski są w poznańskim Muzeum Rzemiosł Artystycznych. Lubię tam wchodzić. Patrzę sobie przez szybę gabloty...

Za „łabędzią" paterkę (31,7 cm x 20,4 cm) zapłacono w ubiegłym roku 57 000 złotych

Puszka na herbatę lub cukier (wys. 17 cm) – cząstka słynnego serwisu – została sprzedana na aukcji w 1996 r. za 9 000 zł

* * *

Od czasu do czasu pojedyncze egzemplarze Serwisu Łabędziego pojawiają się na aukcjach, w Polsce także. Osiągają zawrotne ceny. Dwa lata temu w Warszawie za półmisek o średnicy 33 centymetrów zapłacono 33 tysiące złotych. „1000 złotych za jeden centymetr średnicy!" – skomentował to autor artykułu w „Spotkaniach z Zabytkami". Według notowań z 1998 roku, należałoby wycenić „łabędzi" centymetr na ponad 1800 złotych.

Maria Wiatrowska

W tekście wykorzystano informacje zawarte w artykułach Wojciecha Przybyszewskiego: „Najwspanialszy!" („Spotkania z Zabytkami" 7/97) oraz „Serwis Łabędzi" („Art & Business" 9-10/92), a także w artykule Adama R. Chełstowskiego „Rzemiosło artystyczne na aukcjach 1989-1998" („Art & Business" 3/99).

Taką wazę zmiażdżył traktorzysta przed pałacem w Brodach

Na półmisku z Serwisu Łabędziego jadały indyczki w Kazimierzu Biskupim

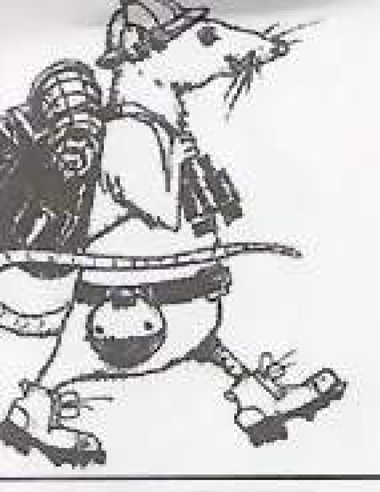

Głogowskie tajemnice – mity i fakty

Chyba ze wszystkimi miejscowościami, w których znajdują się fortyfikacje, ruiny pałacu lub zamku, wiążą się niesamowite historie o tajemnicach, nie odkrytych podziemiach i skarbach. Na terenie Środkowego Nadodrza takich miejscowości jest sporo. Jedna z nich to Głogów, z którym od dziesięciu lat jestem związany emocjonalnie, ale i naukowo, bowiem właśnie od tego miasta zacząłem szkolić swój warsztat „fortyfikacyjny", wykonywać pierwsze badania, studia terenowe, prace dokumentacyjne i poszerzać zbiory archiwalne.

Głogów ma bardzo bogatą przeszłość. Była to niegdyś jedna z najpiękniejszych twierdz Dolnego Śląska. Jeszcze teraz można napotkać w niej pozostałości średniowiecznych, kurtynowych murów miejskich, fortyfikacji bastejowych i bastionowych. Uroku dodają również forty, szańce i polowe baterie artylerii rozrzucone pierścieniowo wokół miasta. Nad Odrą znajdują się liczne pozostałości żelbetowych schronów z Pozycji Środkowej Odry, a w pobliskich lasach – także schrony piechoty z I wojny światowej. Od 1630 do 1902 roku Głogów był przede wszystkim twierdzą, dopiero w drugiej kolejności – miastem. Fakt ten znalazł swe odbicie w rozwoju urbanistycznym Głogowa.

Prowadząc liczne badania i kwerendy archiwalne natknąłem się na wiele tajemnic, które niejednokrotnie gmatwają obraz twierdzy głogowskiej. Słynne głogowskie podziemia... Ciągnące się kilometrami do Wrocławia i do Berlina, przechodzące kilka razy pod Odrą... Sieć labiryntów pełna min, pułapek i szkieletów. Liczne nieznane urządzenia, hale wypełnione po brzegi olbrzymią ilością skarbów, stosy broni i amunicji. Te wszystkie wiadomości można pozornie potwierdzić dziesiątkami relacji naocznych świadków, którzy ponoć jeszcze w latach 70. wchodzili w głębię opuszczonych, wilgotnych i mrocznych korytarzy. Świadkowie ci niejednokrotnie przysięgali na wszystkie świętości, że byli w podziemnych budowlach posiadających co najmniej dziesięć kondygnacji, korytarzach ciągnących się pod Odrą, że prawdziwe są informacje o skarbach ukrytych w kazamatach twierdzy, o dziesiątkach (jeżeli nie o setkach) czołgów i armat zmagazynowanych w tajemniczych lochach i przepastnych halach. Informacje te potwierdzali nie tylko radiesteci, ale również powszechnie znani i szanowani eksploratorzy oraz liczne zastępy historyków.

Nawet realnie myślący człowiek po pewnym okresie zaczyna się gubić w tych wszystkich doniesieniach, zazwyczaj pełnych niejsności, sprzeczności i spekulacji. By zachować konsekwencję, podjąłem kilkadziesiąt smodzielnych prób odkrycia i penetracji tychże tajemniczych podziemi. Początkowi świadkowie byli zauroczeni pomysłem i obiecywali daleko idącą pomoc (jak zawsze). Jednakże w momencie przechodzenia od słów do czynów, w szczególności gdy rozpoczynałem konfrontację świadków z terenem, napotykałem niespodzianki. Zasłaniano się brakiem pamięci, tym że Werwolf nadal czuwa i grozi, tym że korytarz jest zasypany lub zalany wodą z Odry, tym że gdzie kiedyś było wejście do podziemi, teraz stoi budynek lub wzniesienie, tym że kolega opowiadał, że korytarz jest zalany, że są miny, że babcia chora, pies zdechł, że... (i można napisać, co do głowy przyjdzie). Mimo tych postaw rozpocząłem pierwsze badania. Początkowo sprawdzałem wszystkie możliwe studnie i odstojniki ścieków. Później kopałem w hałdach gruzów i penetrowałem niezliczone kilometry chodników kontrminowych, kazamat i podwalni. Przerzucałem tony cegieł i różnorodnego gruzu. Starannie przeszukiwałem forty i schrony. Jednocześnie zbierałem dziesiątki pruskich i niemieckich map i planów fortyfikacji. Zdobyłem również polskie plany budowlane osiedli mieszkaniowych i kamienic. Przeszukałem dziesiątki kanałów, przepustów.

Większość rewelacji okazała się fikcją. Niczego nie znalazłem, niczego nowego nie odkryłem. Owszem, muszę stwierdzić, że nawet w bajce kryje się ziarnko prawdy; znalazłem kilka nieznanych mi schronów przeciwlotniczych, chodników kontrminowych, piwnic nie istniejących już budynków, zasypane kaponiery, podwalnie, zasypane i wysadzone poterny, a nawet groby. Wielokilometrowej długości korytarze okazały się jednak zwykłymi piwnicami, w których w 1944 r. przebito ściany w celu stworzenia olbrzymiego podziemnego systemu komunikacyjnego. Inne podziemne korytarze okazały się zwykłymi okopami, które nakryto drewnianym sklepieniem, a tajemnicze hale – zwykłymi podwalniami lub kaponierami. Całkowity brak skarbów, czołgów i armat. Opowieści o zaginionych jednostkach niemieckich okazały się tylko mitem. Wyloty korytarzy do Odry to kanały i rury ściekowe. Nie ma podziemnych fabryk zbrojeniowych, podziemnych przejść do innych miast. Nie odnaleziono niczego sensacyjnego.

Wiele zagadek wiąże się z wydarzeniami 1945 r., kiedy to Armia Radziecka rozpoczęła blokowanie twierdzy głogowskiej. Obraz walk o miasto jest zamglony, niepełny. Badania terenowe z miesiąca na miesiąc przynoszą nowe fakty i odkrycia. Szczególną tajemnicą są okoliczności śmierci Alberta Schöna. Obecnie niewiele wiadomo o tej postaci. Przed przejęciem komendatury twierdzy był dowódcą głogowskiej Komendy Uzupełnień. Według potwierdzo-

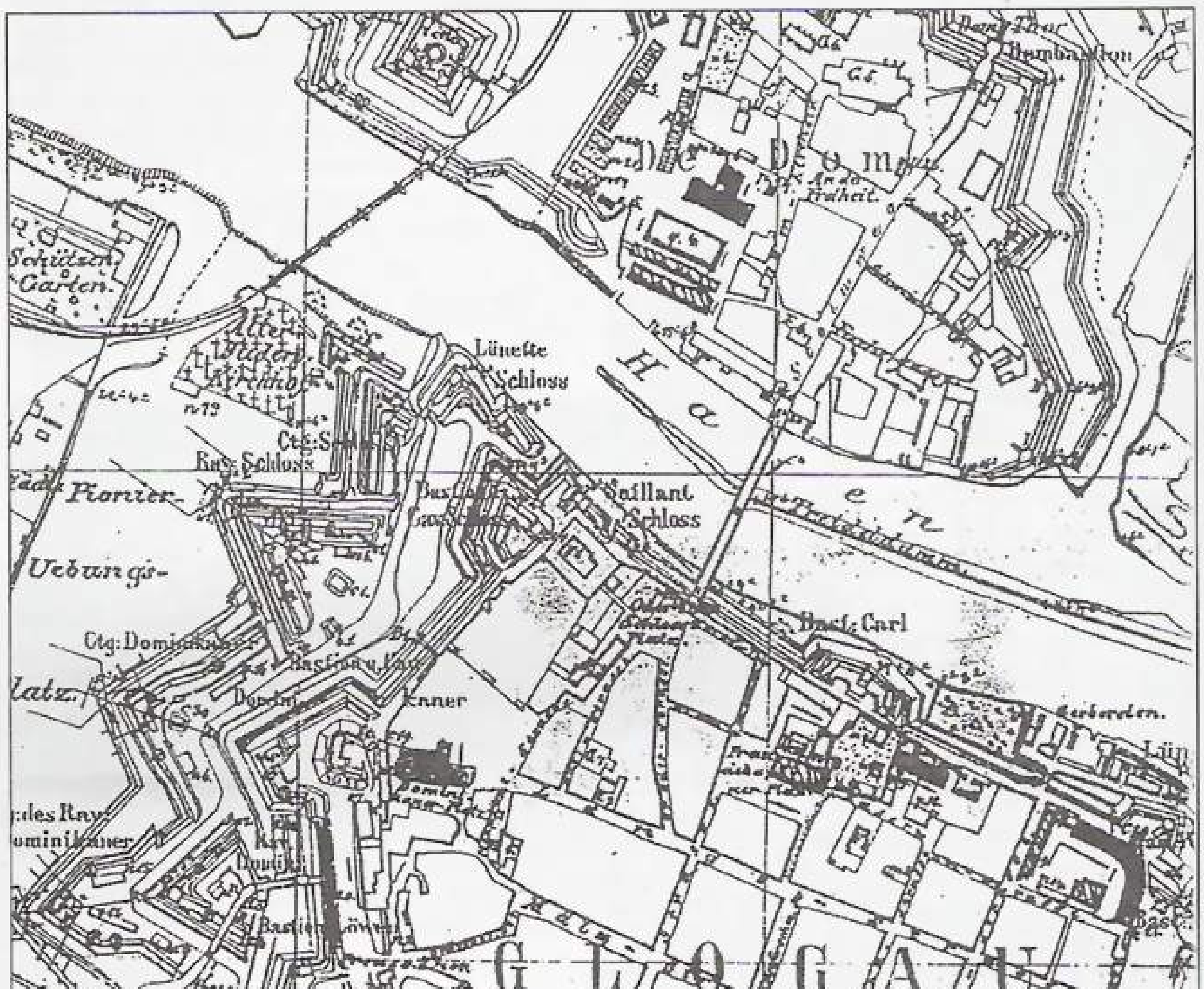

Plan z około 1865 r. przedstawia fragment bastionowych fortyfikacji Twierdzy Głogów. Na planie widoczne są również szkice chodników kontrminowych oraz nielicznych podwalni i kazamat. Źródło: Muzeum Archeologiczno-Historyczne w Głogowie

nych informacji i dokumentów, zginął 12 lutego 1945 r. Miał 60 lat. Dane niemieckie, zresztą nieoficjalne, informują, że komendant głogowski zginął w trakcie obchodu północnego pasa obrony na dalekim przedpolu twierdzy. Wydaje się to wiarygodne, gdyż wtedy jednostki radzieckie zamknęły pierścień oblężenia. Tymczasem, przeglądając liczne publikacje z serii „Mój dom nad Odrą", będące wspomnieniami pierwszych polskich osadników na tych terenach, natknąłem się na ciekawą i kontrowersyjną informację: krótką wzmiankę, że komendant twierdzy głogowskiej został powieszony w 1945 r. przez swych żołnierzy. Kto był owym komendantem? W 1945 r. funkcję tę pełnili tylko dwaj ludzie: pułkownik Albert Schön, który zginął w bliżej nie wyjaśnionych okolicznościach, a później pułkownik Jonas zu Eulenburg pochodzący z Królewca. O losach pułkownika Eulenburga mamy również niewiele informacji, ale wiadomo, że 30 marca z grupą ochotników wydostał się z oblężonego miasta. Najprawdopodobniej powieszonym komendantem był zatem pułkownik Albert Schön. Komu wierzyć? Czy dać wiarę mglistemu wspomnieniu osadnika, czy zaufać informacjom niemieckim, także nie potwierdzonym? Jaka jest prawda? Spekulując można wysunąć następującą hipotezę:

Gdy w połowie 1944 r. został wydany rozkaz o utworzeniu kilku nadodrzańskich miast-twierdz, komendantem Głogowa został Albert Schön. Przystąpił on do rzetelnego wykonywania rozkazu Adolfa Hitlera, jednakże z biegiem czasu coraz dokładniej zdawał sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Braku odpowiedniego sprzętu wojskowego oraz żołnierzy nie można było zagłuszyć powołaniem Volksturmu. Dowódca wiedział doskonale o lukach w obronie. Wiedział także o historycznym znaczeniu miasta, o jego walorach zabytkowych. Pod koniec stycznia 1945 r. sytuacja nad Odrą ulega gruntownej zmianie. Powstają wówczas pierwsze radzieckie przyczółki na lewym brzegu Odry, m.in w rejonie Milska i Ścinawy. Sytuacja się coraz bardziej zaognia i gmatwa. Dalszy opór nie ma już najmniejszego sensu. Schön przystępuje do anulowania rozkazu obrony twierdzy – chce uchronić Głogów od totalnej zagłady. Przychodzi myśl o kapitulacji... Dowiaduje się o tym pułkownik Jonas zu Eulenburg, który natychmiast obejmuje władzę w twierdzy jako nowy komendant. Za złamanie rozkazu Führera jest tylko jeden wyrok... Pułkownik Schön zostaje skazany na śmierć przez powieszenie. Jednocześnie, by nie pogarszać sytuacji, ogłasza się wszem i wobec wiadomość o przypadkowej śmierci komendanta. Miasto staje do czynnego oporu. To tylko hipoteza. Jak było naprawdę? Czy Albert Schön zginął od radzieckiej kuli, czy też z rąk niemieckiego żołnierza?

Smaku całej tej historii dodaje fakt niesamowity. Otóż po ponad czterdziestu dniach krwawych walk dowództwo niemieckie nie widziało już sensu dalszej obrony. Sytuacja była beznadziejna. 30 marca grupa 800 ochotników-desperatów, na czele z Jonasem zu Eulenburgiem przedarła się przez radzieckie oblężenie i mimo olbrzymich strat (sięgających około 200 rannych i zabitych) dostała się w podgłogowskie lasy. Żołnierze ci próbowali dotrzeć duktami leśnymi do niemieckich jednostek. Nie udało się. W nocy z 6 na 7 kwietnia nie opodal Parchowa (na południe od Przemkowa) grupa Eulenburga została osaczona przez radzieckie oddziały i doszczętnie rozbita. Do armii niemieckiej przedostało się zaledwie 18 żołnierzy, a według nie potwierdzonych informacji wojnę przeżyły jedynie 2 osoby. Jak wyglądał przebieg tej bitwy? Czy żołnierze niemieccy zostali zlikwidowani przez tzw. Czarne Brygady (jednostki NKWD)?

Inną sprawą, równie tajemniczą, jest całkowite zrujnowanie Głogowa, a ściślej Starego Miasta. Liczne publikacje radzieckie, niemieckie i polskie podają informację, że miasto zostało zrujnowane w ponad 93 procentach. Jeszcze do tej pory mnóstwo tu pustych przestrzeni, na których piętrzą się hałdy gruzów i śmieci porośniętych krzakami i chwastami. Zniszczenie miały spowodować niesłychanie ciężkie i krwawe walki o miasto. Wydaje się to uzasadnione, aczkolwiek od kilku lat pojawiają się spekulacje pseudohistoryków twierdzących, że to właśnie Rosjanie spowodowali straszne zniszczenie Głogowa. Rosjanie mieli rzekomo w odwecie, po kapitulacji, bezpardonowo wysadzić w powietrze całe Stare Miasto. To absurdalne stwierdzenie jest w głównej mierze podyktowane gwałtowną zmianą polityki naszego państwa i zmianą samej świadomości społeczeństwa. Przypomnę, że przecież tak niedawno, nieco ponad 10 lat temu, powszechnie uważano, że stroną na wskroś negatywną, odpowiedzialną za potworne zniszczenie Europy, są Niemcy, Rosjanie natomiast szli w glorii zwycięstwa, męczeństwa i honoru. Teraz jest diametralnie inaczej; w skrócie można to określić: Rosjanie są „be" a Niemcy „cacy". Paranoja! Żadnego wypośrodkowania i zrozumienia dziejów II wojny światowej. Przypomnę, że to właśnie Jonas zu Eulenburg jest odpowiedzialny za bezsensowną obronę Głogowa, a tym samym za jego zniszczenie. Taktyka Rosjan w tym przypadku była najlepsza i najwłaściwsza. Zdecydowali się na prowadzenie ciągłych ataków za pomocą rakiet, lotnictwa i artylerii. W ten sposób starano się chronić cenne życie żołnierzy (choć nie zawsze tak robiono). Tak, przykładowo, postępowali Niemcy w 1939 r. podczas oblężenia Warszawy oraz Amerykanie w zdobywanie wielu miejscowości w zachodnich Niemczech w 1945 r.

Nieliczne fotografie prezentujące walki w rejonie Starego Miasta pokazują stojące, wypalone szkielety budynków. Wszędzie widać gruzy, dym i zniszczenie. Po kapitulacji Głogowa Rosjanie wraz z polskimi jednostkami saperów rozpoczęli akcję systematycznego wyburzania sektorów zniszczonego Starego Miasta. Nie była to bezmyślna i nie zaplanowana akcja. Brano również pod uwagę bezpieczeństwo własnych żołnierzy i pierwszych polskich osadników. Akcję prowadzono niezwykle starannie. Niczego bezsensownego nie robiono. Ba! Mając na uwadze historię miasta pozostawiono kila budynków, np. wypalony szkielet ratusza i filharmonii, zamku książęcego oraz innych zabytków, w tym również kościoły Bożego Ciała i św. Mikołaja.

Wnętrze fosy suchej fortu „Stern". Tutaj, według wielu sensacyjnych relacji, miało znajdować się podziemne przejście do Wrocławia. W trakcie badań terenowych znaleziono tylko kilka chodników kontrminowych oraz dwie, obecnie zasypane, kaponiery barkowe. **fot.** Krzysztof Motyl

Tajemnic Głogowa jest jeszcze bardzo wiele. Mam nadzieję, że w niedalekiej przyszłości powrócę do tematu.

Krzysztof Motyl

Autor jest pracownikiem Lubuskiego Muzeum Wojskowego, wiceprezesem Zielonogórskiego Oddziału Towarzystwa Przyjaciół Fortyfikacji.

Adres kontaktowy: Lubuskie Muzeum Wojskowe, Drzonów 54, 66-014 Letnica, tel. do pracy 0 68 321 18 29 lub 321 18 56, tel. kom. 0601 123 95 25

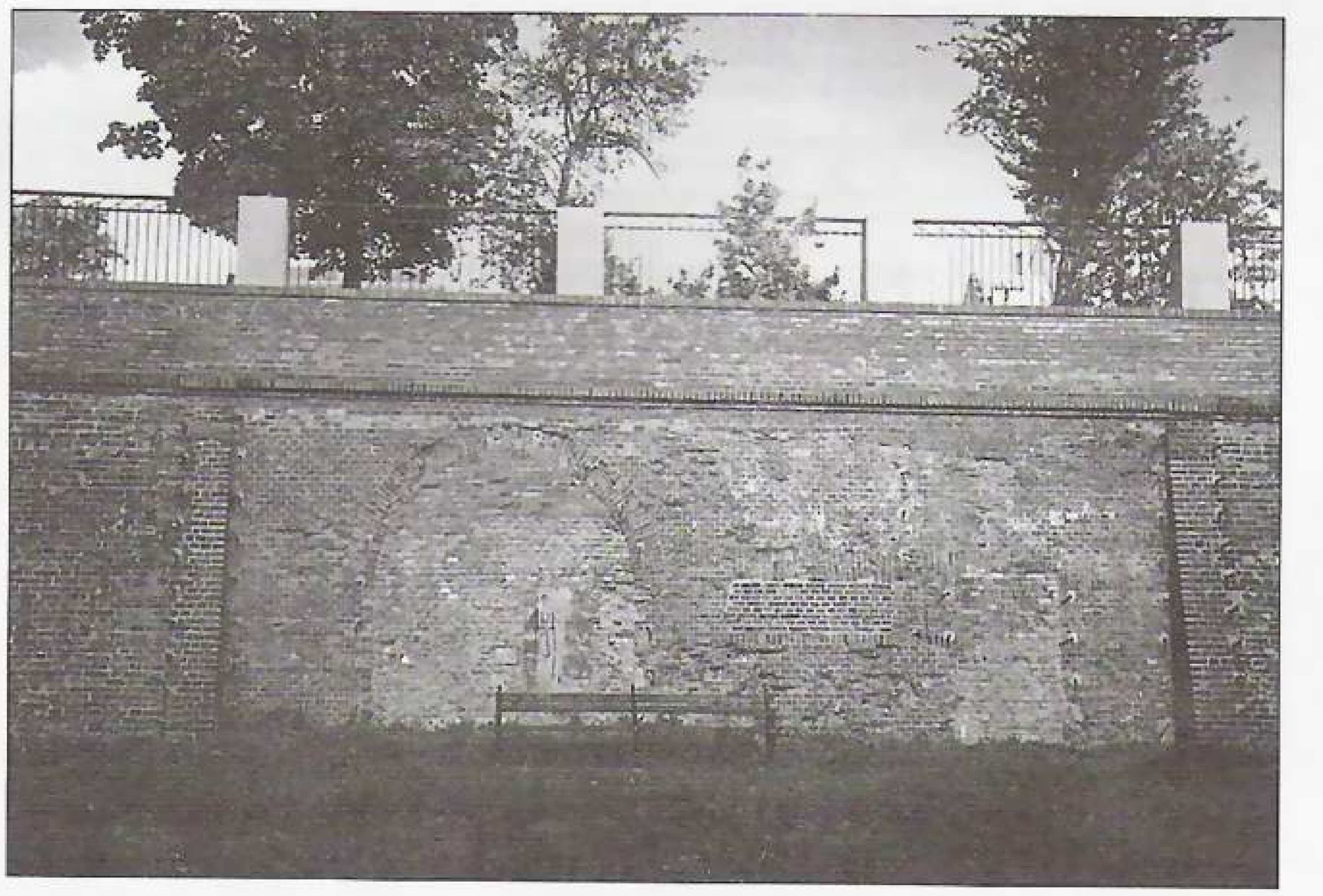

Widoczne na zdjęciu zamurowane wejście do korytarza prowadzącego do Berlina okazało się w rzeczywistości poterną do małego magazynu prochu znajdującego się wewnątrz bastionu „Engel" **fot.** Wojciech Eckert

Łupy pruskiego rozbójnika

Wśród mieszkańców wielu wiosek położonych w południowej części województwa szczecińskiego krążyły legendy o skarbach zakopanych przez Karola Fryderyka Mascha, najsłynniejszego i zarazem najbardziej okrutnego rozbójnika nowomarchijskiego. Nie miał on nic wspólnego z naszym Janosikiem czy Ondraszkiem, gdyż był krwawym bandytą rabującym zarówno biednych, jak i bogatych.

Karol Fryderyk Masch urodził się 28 kwietnia 1824 r. w leśniczówce Brunki koło Barlinka jako młodszy syn robotnika dniówkowego. Leśniczówka ta zachowała się do dziś i leży po prawej (wschodniej) stronie szosy z Gorzowa do Barlinka, tuż przed Moczkowem. Wkrótce po urodzeniu syna rodzina Maschów przeniosła się do Sitna. W tej wiosce, położonej nad uroczym jeziorem, upłynęło dzieciństwo Karola Fryderyka. Zapewne wówczas poznał dokładnie okoliczne lasy, które niebawem miały się stać terenem jego zbrodniczej działalności. Po ukończeniu szkoły ludowej przyjęty został do pracy w majątku rycerskim, a następnie wstąpił do armii pruskiej. Służbę wojskową odbył w Myśliborzu, Berlinie, Dreźnie oraz na Śląsku. Jeśli wierzyć jego własnym słowom, jako żołnierz sprawował się doskonale.

Po zwolnieniu z wojska Masch nie wrócił już do uczciwej pracy, lecz wkroczył na drogę zbrodni. Pierwsze przestępstwo popełnił w 1856 r. w Tetyniu. Zaczął skromnie, od kradzieży i podpaleń. W latach następnych dokonał licznych napadów z bronią w ręku, rabunków, wreszcie morderstw. Terenem jego działalności były wioski położone w powiecie pyrzyckim oraz myśliborskim. Po aresztowaniu bandyty ustalono, iż w ciągu sześciu lat Masch dokonał przeszło 320 napadów rabunkowych, podczas których „zastrzelił, zarąbał siekierą lub udusił" 12 osób. Wśród jego ofiar były nawet maleńkie dzieci.

Ze zrabowanym łupem, jak przystało na prawdziwego rozbójnika, Masch znikał w leśnej gęstwinie. Pierwszą kryjówkę wybudował sobie w Pyrzyckim Lesie Miejskim (Pyritzer Stadt Forst), który rozciągał się około 7 kilometrów na południowy zachód od miasta. Gdzieś na północ od jeziora Sitno Wielkie wykopał ziemiankę, którą później w aktach sądowych nazwano „Pyrzycką Jamą". Mieszkał w niej tylko dwa lata, gdyż w maju 1858 r. kryjówka została odkryta przez robotników leśnych podczas wycinania drzew. Przestępca przeniósł się wówczas 25 kilometrów na wschód, na zalesione zbocza doliny Płoni. Między Warszynem, Jagowem a Laskówkiem wybudował Masch drugą ziemiankę, zwaną później „Warszyńskim Młynem", gdyż leżała ona w lesie należącym do majątku w Warszynie.

W sierpniu 1861 r. Masch został rozpoznany i aresztowany we Frankfurcie nad Odrą, a następnie przewieziony do więzienia w Kostrzynie, gdzie odbył się jego proces. Wielokrotnego mordercę skazano na karę śmierci. Rankiem 18 lipca 1864 r. kat spełnił swą powinność.

Masch po aresztowaniu okazał się bardzo rozmowny i chętnie opowiadał o wszystkich swoich wyczynach. Do końca nie powiedział jednak najważniejszego: gdzie ukrył łupy. Musiał to być dość spory majątek, składający się z biżuterii oraz gotówki w pruskich talarach. Największy łup zdobył Masch podczas napadu na Mostkowski Młyn, gdyż właściciel tego wiatraka był bardzo zamożnym człowiekiem. Zdarzało się, iż w jednym tylko dniu osiągał 100 talarów czystego zysku. Nie gardził również Masch mniejszymi sumami. Ostatni napad przyniósł mu 42 talary.

Najbardziej prawdopodobnym wydaje się, że swoje zbójeckie zdobycze zakopał gdzieś w pobliżu „Warszyńskiego Młyna". Nie miał już sposobności, aby przenieść je w inne miejsce, gdyż 17 maja 1861 r. jego kryjówka została odkryta przez miejscowych chłopów, zaś on sam musiał salwować się ucieczką i nigdy już nie wrócił do doliny Płoni. Możemy więc przyjąć, iż skarb Mascha spoczywa do dziś gdzieś na zboczach doliny Płoni, w trójkącie wyznaczonym przez Warszyn, Jagowo i Laskówko. Podobnego zdania są również okoliczni eksploratorzy, którzy już od dawna penetrują zalesione stoki. Teren poszukiwań jest bardzo trudny, miejscami wręcz niedostępny. Najwięcej problemów sprawiają stromościenne jary wypełnione bujną roślinnością.

Zbigniew Miler

Skarbowe dykteryjki – słoje pełne monet

Poszukiwania na zlecenie zdarzają się rzadko, a już na pewno mało który z poszukiwaczy chwali się wykonaniem takiej usługi. Jednak o ile nie chodzi o coś dużego, to można czasami usłyszeć o znalezisku. Dwie poniższe historie to takie eksploracyjne przecieki. Czy są prawdziwe – nie wiem; poszukiwacze, którzy je opowiadali, należą do osób wiarygodnych, aczkolwiek lepiej potraktować te opowieści luźno.

SREBRO – HISTORIA Z HAPPY ENDEM

Właściwie nie wiadomo, w jaki sposób namierzył dwóch poszukiwaczy z miasta prząśniczek. Był czerstwym staruszkiem z konkretną propozycją. W czasie wojny zakopał na swoim polu słój z monetami. Nie były to żadne numizmatyczne rarytasy – ot, polskie przedwojenne srebrne monety. Nie wiadomo, jakimi torami toczyło się życie starszego pana; może walczył z Niemcami, może został wywieziony na roboty przymusowe? Od zakopania monet upłynęło trochę czasu i chociaż miejsce było znane i naszukał się niemało – kamień w wodę. Postawił przysłowiowy krzyżyk na swoim skarbie, aż usłyszał o wykrywaczach metali. Może słyszał już wcześniej, ale nie miał dojścia. Wreszcie mu się poszczęściło – trafił na poszukiwaczy i tak po nitce do kłębka... Umówili się na dwadzieścia procent, pojechali razem na wieś i we wskazanym przez staruszka miejscu, po dwóch czy trzech fałszywych sygnałach – trafili. Słój był nie naruszony. Radość dziadka nie miała granic, cieszył się jak dziecko; najbardziej z tego, że po przeszło pięćdziesięciu latach odzyskał swoją własność. Poszukiwacze zgarnęli wynagrodzenie w srebrnych monetach, których staruszek nie poskąpił – dając więcej niż się spodziewali. Jednym słowem – wszyscy byli zadowoleni.

ZŁOTO, CZYLI JAK SIĘ MOŻNA SPARZYĆ

Inny słoik z monetami czekał cierpliwie na swoją kolej w jednej z żuławskich wsi. Okoliczności ukrycia były trochę inne, bo rzecz cała dotyczyła waluty wymienialnej, której posiadanie w okresie PRL-u, delikatnie mówiąc, mogło posiadaczowi przysporzyć kłopotów. Oczywiście, istniały w bankach konta dewizowe, ale obywatel musiał udokumentować, skąd walutę ma. Koniec końców i tak najpewniejszym był wypróbowany bank ziemny. Łatwo w ziemi zdeponować – trudniej wyciągnąć. Waluta leżała sobie spokojnie, aż doleżała się lepszych czasów i wykrywaczy metali. Właściciel dewiz znalazł właściciela wykrywacza i powiedział mu krótko: „Mam coś schowane, w sumie nic cennego, ale rozumiesz, ma dla mnie wartość sentymentalną. Wykopiesz – dostaniesz tysiączka. Ty będziesz zadowolony i ja też". Poszukiwacz wziął się do roboty z zapałem, bo dziesięć baniek piechotą nie chodzi, a niełatwo znaleźć jelenia, który za odkopanie rodzinnych pamiątek tyle odpali. Mnie nie pytajcie, kto tu był jeleniem – w słoiku znajdowały się złote dolarówki, a poszukiwacz do dziś klnie w żywy kamień, że tak się dał przewieźć. Moim zdaniem, nie powinien się tak pieklić; tysiąc złotych skasował, a dewizowiec – nie w ciemię bity, gdyby musiał dużo więcej zapłacić, to pewnie sam kupiłby wykrywacz.

Kmicic

Ulotki w niewypałach

W sierpniu ubiegłego roku w Zielonej Górze znaleziono trzy niewypały. (Patrz: „Odkrywca" nr 1/99 – „Ziemia śmiercią nadziewana".) Po zdetonowaniu okazało się, że zawierały tysiące takich oto ulotek propagandowych – zachęcających do opuszczenia szeregów Armii Czerwonej „bezterminowych przepustek dla oficerów i żołnierzy".

Ojczyzna czeka! A ty, czerwonoarmisto, walczysz za cudze sprawy, walczysz za bezrozumną politykę Stalina i jego żydowskich popleczników. (...) Teraz gnają cię na Berlin. A potem? (...) Nigdy nie ujrzysz pokoju, nigdy nie zobaczysz ojczyzny (...). Stalin i jego kremlowscy Żydzi chcą poświęcić ciebie i twój naród. Za co? W imię czego? Zapytaj sam siebie.

Ulotkę podarował „Odkrywcy" porucznik Grzegorz Marcińczak – saper z Krosna Odrzańskiego. Dziękujemy!

Sprzęt w poszukiwaniach – geofon

W praktyce poszukiwawczej często spotykamy się z problemem odnajdywania pustek (zasypane sztolnie, bunkry).

Najczęściej mamy do dyspozycji urządzenia wykrywające anomalie w gruncie metodami elektromagnetycznymi aktywnymi (radar, wykrywacz metali) czy magnetycznymi pasywnymi (magnetometr). W tym artykule przedstawię urządzenie pozwalające wykryć zmiany na terenie poszukiwań metodami akustycznymi. Urządzenie to wykorzystywane jest w akcjach ratowniczych polegających na zlokalizowaniu w pomieszczeniach (gruzowiskach) zasypanych ofiar katastrof, które są w stanie przekazywać sygnały do otoczenia. Stąd pełna nazwa urządzenia brzmi Geofon Life-Detector.

Na początek trochę teorii. Dźwięk jest to zaburzenie falowe rozchodzące się w ośrodku materialnym; w powietrzu z prędkością ok. 330 m/s, w wodzie 1450 m/s, w betonie 5000 m/s, a w żelazie 5170 m/s. Wartości te są przybliżone, ponieważ prędkość dźwięku zależy również od temperatury ośrodka. Człowiek słyszy dźwięki o częstotliwości od 16 do 20000 Hz. Dźwięki poniżej zakresu słyszalnego to infradźwięki, a o częstotliwości większej – ultradźwięki. Miarą wysokości dźwięku jest częstotliwość fali (Hz); im większa częstotliwość fali, tym wyższy jest dźwięk.

Pomiary w terenie za pomocą geofonu ilustruje rysunek.

Gdy pierwszy raz miałem możliwość zapoznać się z tym urządzeniem (wiedząc, jakie ma pierwotne zastosowanie), od razu pomyślałem o możliwościach zastosowań na potrzeby eksploracji. Znamy wszyscy zjawisko wycieków kropelkowych w sztolniach i tworzenie się stalaktytów w podziemnych betonowych konstrukcjach, przecież tam wszędzie kapie i płynie woda. Często zastanawiamy się, że po 50, 100, 200 latach działają systemy odwadniające. No i żyje w tej niedostępnej dla ludzkiego oka, zapomnianej historii mnóstwo zwierząt, że wspomnę tu tylko o nietoperzach lub szczurach. Wszędzie mnóstwo dźwięków!

Geofon
fot. Zbyszko Janiszewski

Zestaw szukający (w przypadku tego urządzenia) stanowi 6 sensorów, które wbija się w miejsca pomiarowe. Sondy pomiarowe wychwytują falę dźwiękową. Następnie sygnał jest filtrowany i wzmacniany. Analiza odbywa się za pomocą słuchawek lub w przypadku infradźwięków (sygnał poniżej progu słyszalnego) za pomocą diod poziomu sygnału. W przypadku pomiarów w gruncie (bardzo zły przewodnik dźwięku) skuteczniejsze będą po obfitych deszczach lub w terenie z natury podmokłym. Przy przenikaniu dźwięku przez beton lub mur, a następnie grunt (przejście przez różne ośrodki) dochodzi do pochłaniania. Pochłanianie dźwięku zależy z kolei od częstotliwości. Dźwięki o częstotliwości 1000 Hz i więcej są pochłaniane dużo silniej niż takie, które mają ponad 100 Hz. Urządzenie posiada wiele filtrów, za pomocą których możemy „obcinać" pasma częstotliwości np.:

– pasmo wysokie – występują wysokie częstotliwości, niskie znikają,

– pasmo niskie – występują niskie częstotliwości, wysokie znikają.

Urządzenie wskazuje zawsze tylko na głośność sygnału dźwiękowego, dlatego pomiary w mieście lub pobliżu (ruch uliczny) mogą okazać się błędne.

Pomiary okażą się skuteczne tylko wtedy, gdy będą systematyczne i wykonane kilka razy z zastosowaniem różnych filtrów oraz zrobione na tych samych liniach profilowych. Dopiero analiza profili z jednoczesnym nałożeniem ich na mapę terenu może przynieść pożądany efekt. Mamy do dyspozycji coraz więcej urządzeń elektronicznych, jednak poznanie ich to nie tylko przeczytanie instrukcji obsługi, ale przede wszystkim praktyka, praktyka i jeszcze raz praktyka.

Zbyszko Janiszewski

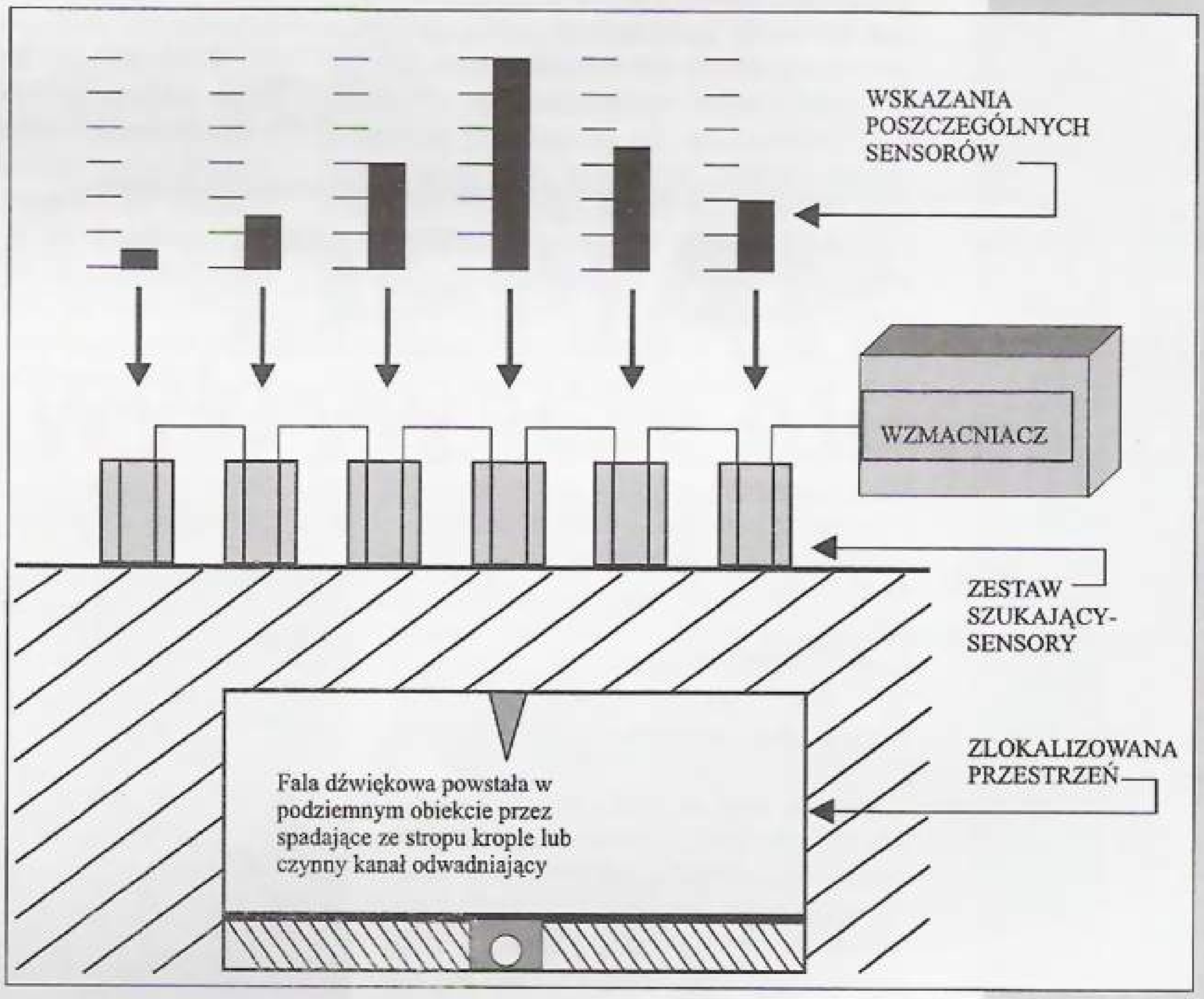

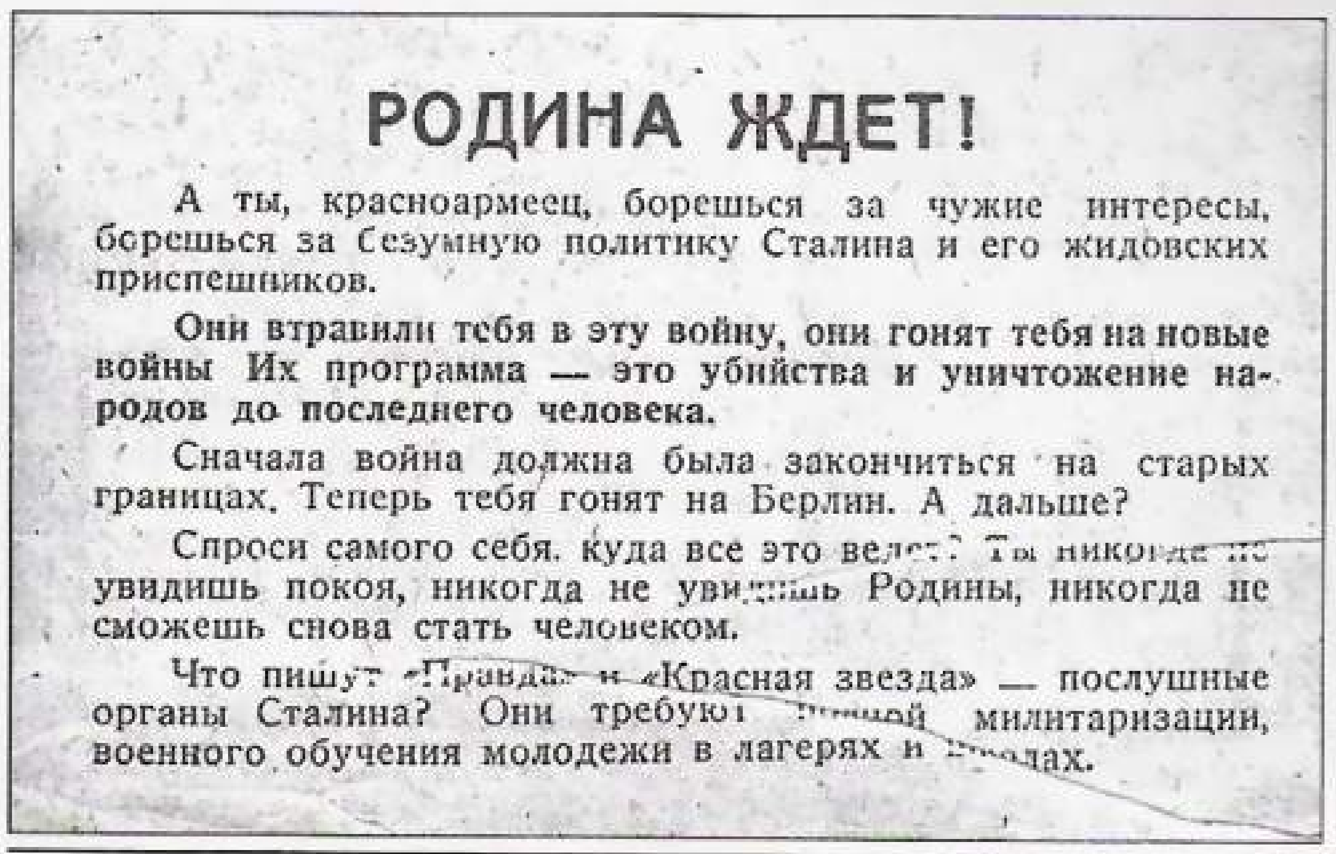

РОДИНА ЖДЕТ!

А ты, красноармеец, борешься за чужие интересы, борешься за безумную политику Сталина и его жидовских приспешников.

Они втравили тебя в эту войну, они гонят тебя на новые войны Их программа — это убийства и уничтожение народов до последнего человека.

Сначала война должна была закончиться на старых границах. Теперь тебя гонят на Берлин. А дальше?

Спроси самого себя. куда все это ведет? Ты никогда не увидишь покоя, никогда не увидишь Родины, никогда не сможешь снова стать человеком.

Что пишут «Правда» и «Красная звезда» — послушные органы Сталина? Они требуют [illegible] милитаризации, военного обучения молодежи в лагерях и школах.

А это значит, что война никогда не кончится. Сталин и жиды хотят разжечь пламя войны в новых странах ради целей, непонятных народам России, так как они, как и всякий другой народ, хотят жить в мире.

Сталин и его кремлевские жиды хотят принести в жертву тебя и твой народ За что? Ради чего? Спроси себя!

Пропуск **Passierschein**

Этот пропуск действителен для неограниченного числа офицеров и солдат Красной Армии. Перебежчикам гарантируется хорошее обращение согласно основному приказу № 13 Германского Верховного Командования.

Dieses Flugblatt gilt als Passierschein.

L 74

Omnitron dla... naiwnych

Z pewnością artykuł pt. „Sprzęt w poszukiwaniach – omnitron", zamieszczony w numerze 5 „Odkrywcy", zelektryzował niejednego z poszukiwaczy. Sensacja! Oto dowiadujemy się, że w USA (ach, ci Amerykanie!) produkowane są urządzenia zdolne do wykrywania złota lub innych metali z odległości kilkuset metrów, leżących na głębokości kilkudziesięciu metrów. Dlaczego taka informacja nie pojawiła się na pierwszej stronie?! Toż to absolutna rewelacja! W kąt pójdą wszystkie White'sy, Fishery czy inne pożałowania godne detektory, które z trudem wykrywają monetę na głębokości 30 cm, a przy tym nie potrafią rozróżnić złotej obrączki od folii aluminiowej. Nareszcie technologia XXI wieku wkracza do poszukiwań...

Ci z Was, którzy wyczuwają szyderstwo w tym, co piszę, mają rację. Z trudem hamuję się, żeby nie powiedzieć w kilku dosadnych słowach, co myślę o wspomnianym artykule i o opisywanym w nim sprzęcie. Postaram się zapanować jednak nad emocjami (naprawdę trudno przejść do porządku dziennego po lekturze tego artykułu...) i rzeczowo przedstawić kilka faktów. Nie obędzie się też bez moich prywatnych, a więc subiektywnych, opinii. Uważam jednak, że lepiej o tym lojalnie uprzedzić, niż tworzyć materiał pozornie obiektywny, a w rzeczywistości oparty w stu procentach na bezkrytycznych cytatach ulotek reklamowych, tak jak to uczynił autor wspomnianego artykułu.

Przystępując do pisania tej polemiki postanowiłem, że punkt po punkcie wytknę wszelkie głupstwa i głupstewka, które wypisane zostały o omnitronach. Jednak gdy już zasiadłem do klawiatury, ręce mi opadły, włos się zjeżył, a wzrok zmętniał. Taka końska dawka bzdur i pseudonaukowego bełkotu chyba przerosła moje siły. Cóż można sensownego powiedzieć o frekwencji poszukiwawczej, rozproszeniu cząsteczek metalu, fali stojącej na linii generator – metal, biofeedbacku, promieniowaniu pod kątem 45 stopni, częstotliwości modulacji, fali elektromagnetycznej rozchodzącej się z prędkością 10m/s (wolniej od dźwięku!) itd.? Być może byłem akurat na wagarach, gdy mówiono o tym w szkole...

Czym więc są owe omnitrony? Na pewno nie jest to owoc długoletnich badań naukowych, jak twierdzą twórcy tego typu sprzętu, ani żadna nowinka technologiczna. Pierwszy opis podobnego urządzenia udało mi się odnaleźć w amerykańskim magazynie „Science and Invention" z 1926 roku! Najczęściej są to po prostu zwykłe, dostępne w sklepach elektronicznych za grosze, generatory funkcyjne zdolne go generowania sygnałów o nastawianej przez użytkownika częstotliwości. Generator taki, uzupełniony o dziwaczne sondy wbijane w ziemię, stanowi nadajnik. Skoro jest nadajnik, musi też być i odbiornik. Owszem, jest nim sam człowiek trzymający w rękach dwie różdżki. Nie bójmy się tego słowa! Są to różdżki. Mamy więc oto do czynienia z przyrządem różdżkarskim, czy tego chcemy, czy nie. Słowa „różdżka", jak diabeł święconej wody, boją się osoby, które próbują rozprowadzać ten sprzęt. Słyszymy więc: kolektor, antena, rezonator, elektroda odbiorcza itp., byle tylko nie padła ta, widać skompromitowana, nazwa.

W tym miejscu w zasadzie temat pt. „omnitron" można by już zamknąć, a rozpocząć debatę nad samym różdżkarstwem. Nie czuję się w pełni kompetentny, by temat ten tutaj rozwijać, ale jeśli redakcja mi tego nie wytnie, to kilka zdań postaram się tutaj przemycić. Otóż gdy kilka lat temu po raz pierwszy usłyszałem o urządzeniach typu omnitron, które jak się później przekonałem, miały niejako wspomagać rzekome naturalne zdolności człowieka do odbioru promieniowania o bliżej nieznanej naturze, zacząłem interesować się także radiestezją. Któż z nas nie słyszał o różdżkarzach bezbłędnie wskazujących miejsce, w którym należy kopać studnie? Mój szacunek, a co najmniej respekt dla tego typu uzdolnień spadł do zera po lekturze niezwykłej książki niezwykłego człowieka – „Co każdy powinien wiedzieć o radiestezji" Przemysława Kiszkowskiego. Ten początkowo entuzjasta praktyk radiestezyjnych w ciągu 8 lat badań przeprowadzonych na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu i odbytych praktyk terenowych wykazał, że oddziaływania radiestezyjne nie istnieją, a przynajmniej nie mają jakichkolwiek fizycznych podstaw.

Wszystkich, którzy po przeczytaniu tego zdania aż poczerwienieli ze złości i oburzenia, zwłaszcza praktykujących różdżkarzy, zapraszam do lektury ww. książki (dostępnej także w Internecie), a wszystkich do dalszej części niniejszego artykułu.

Wróćmy do omnitronów. Sama nazwa Omnitron pochodzi od słowa omnidirectinal, czyli wszechkierunkowy, i została wymyślona przez jednego z producentów. W Polsce tak przylgnęła do sprzętu znanego za oceanem jako Long Range Locators, jak niegdyś nazwa Elektrolux do odkurzaczy. Omnitron jest po prostu jednym z bardzo wielu przyrządów różdżkarskich „wspomaganym" elektronicznie. Reakcje różdżek są jednak niczym innym jak wzmocnioną (wg Kiszkowskiego, dla różdżek kątowych ok. 30 razy) odpowiedzią na mikrodrgania ludzkich mięśni. Według Bransona, autora książki „Dowsing Devices" („Przyrządy różdżkarskie"), różdżką może być wszystko, nawet piła do drewna, byle tylko udało się ją doprowadzić do stanu równowagi niestabilnej. Mechanizm autosugestii, który kieruje drganiami mięśni, zwany jest zdolnościami radiestezyjnymi. Mam nadzieję, że nie będą mieli mi za złe tego stwierdzenia skądinąd sympatyczni różdżkarze, z którymi koresponduję, a którzy szczerze wierzą w swoje uzdolnienia, a ja nie mam wątpliwości co do ich czystych intencji. Początkowe deklaracje głosiły, że omnitron miał stanowić wsparcie dla osób, które takich zdolności nie posiadają (czytaj: są sceptycznie nastawione do różdżkarstwa). Z czasem w ogóle nie przyznawano się, że omnitrony mają cokolwiek wspólnego z radiestezją.

Jak już wspomniałem, samo urządzenie składa się z nadajnika (czytaj – zwykłego generatora, ostatnio coraz częściej kamuflowanego w walizeczkach lub dziwacznie wyglądających obudowach) i odbiornika – człowieka zaopatrzonego w dwie różdżki, tzw. kątowe. Czasami do różdżek podłączane jest tajemnicze pudełko, w którym ma się mieścić wzmacniacz odbiornika. Mówię „czasami", bo nie jest to regułą. Tak czy owak, istnienie czy brak tzw. wzmacniacza nie ma praktycznego znaczenia, gdyż w owym pudełku zazwyczaj nic nie ma! Nic, jeśli nie liczyć baterii, włącznika zasilania i oczywiście diody świecącej, której zadaniem jest utwierdzanie szczęśliwego posiadacza, że jego urządzenie funkcjonuje.

Porozmawiajmy jeszcze przez chwilę o zasadzie „działania". Reguły kulturalnej polemiki wymagają, bym najpierw powtórzył racje drugiej strony, a po potwierdzeniu, że mówimy o tym samym, przedstawił swoje racje. Polemika prasowa ma jednak tę specyfikę, że ten drugi krok muszę pominąć.

Cóż wobec tego twierdzą spece od omnitronów? Otóż utrzymują oni, że korzystając że specjalnego nadajnika są w stanie doprowadzić do pobudzenia atomów określonego metalu, doprowadzając go tym sposobem do wyemitowania sygnału od charakterystycznej dla niego częstotliwości. Sygnał ten jest następnie odebrany przez człowieka trzymającego w rękach wspomniane wcześniej różdżki. Chyba nic nie przekręciłem, nieprawdaż?

Trzeba przyznać, że brzmi to dosyć ciekawie i przekonywująco, zwłaszcza dla kogoś, kto chce w to uwierzyć. Bezradność poszukiwaczy, których potrzeby eksploracyjne sięgają dziesiątków metrów, sprawia, że są skłonni złapać się każdej brzytwy, nawet omnitrona. A naciąć się można na co najmniej kilka tysięcy złotych...

Otrzeźwienie następuje, gdy zastanowimy się, czy jest to w ogóle

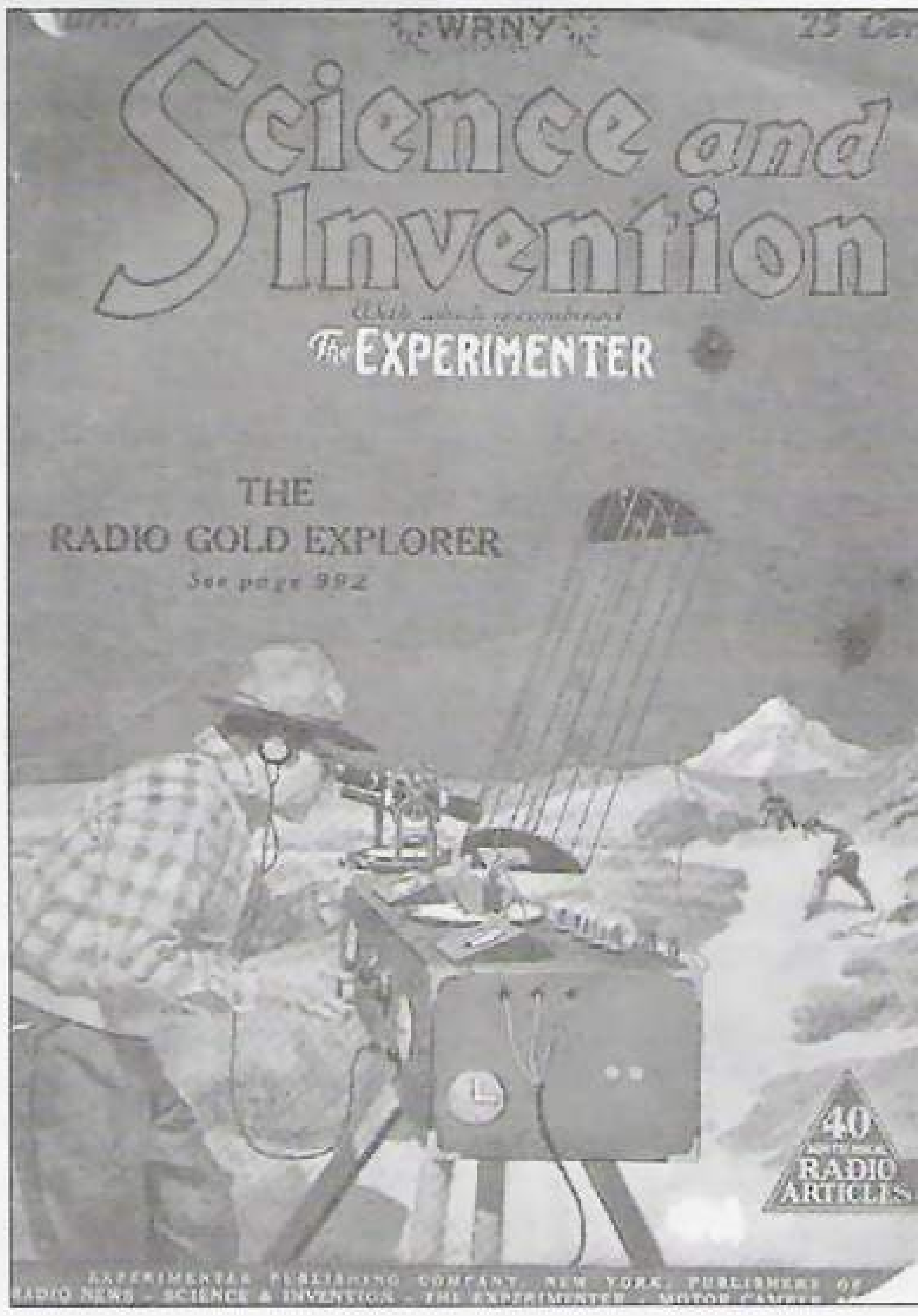

możliwe. O jaki rodzaj promieniowania tutaj chodzi? Wyraźne sugestie od samych producentów idą w kierunku dwóch zjawisk: magnetycznego rezonansu jądrowego oraz wtórnej emisji w postaci fotonów. To pierwsze zjawisko, odkryte i nagrodzone noblem tuż po II wojnie, doczekało się swojego szerokiego zastosowania w medycynie. Spłycając nieco jego naturę, można powiedzieć, że pobudzone silnym impulsem elektromagnetycznym jądra wodoru (ciało człowieka składa się w większości z H_2O) odpowiadają drganiami o określonej częstotliwości. Sygnał ten, poddany wzmocnieniu i odpowiedniej analizie, stanowi przyczynek do oceny stanu badanej tkanki. Prawda, że proste? Bierzmy więc generator za 200 lub mniej dolarów jako źródło sygnału pobudzającego, człowieka jako odbionik (wszak możliwości ludzkie są niezbadane!) i gotowe. Dla cwaniaków z jednej strony, a dla naiwnych z drugiej – to wystarczy. Nie kłopoczmy się takimi szczegółami jak konieczność zapewnienia olbrzymiego, miliony razy większego od naturalnego pola ziemskiego, stałego pola magnetycznego czy konieczność starannego odseparowania się od zewnętrznych zakłóceń. Do porządku dziennego przejdźmy nad faktem, że dla obiektów metalowych, na skutek efektu ekranowania, zjawisko rezonansu jądrowego nie jest obserwowalne. Oczywiście, znajdą się osoby, które stwierdzą, że omnitronami poszukiwać można nie tylko metali. A owszem, potrzeba matką wynalazku. Szukamy bursztynu? Zaraz znajdzie się fachowiec, który potwierdzi za pomocą odpowiedniego przyrządu, że Bursztynowa Komnata jest tam, gdzie jej szukamy, tyle że głębiej. Nie potrafimy zlokalizować masowych grobów jeńców budujących podziemne tunele? – to bardzo proste z przyrządem wykrywającym fosfor z ludzkich kości. Kwestią dni jest pojawienie się aparatu, którym będzie możliwe wskazanie miejsca ukrycia wrześniowych sztandarów, dzięki zdolności wykrywania odpowiedniego materiału, a może barwnika.

Skoro nie rezonans nuklearny, to co? Zawsze coś się znajdzie na podorędziu. Może zamydlić oczy emisją fotonów – czyli przechodzeniem elektronów z wyższych „orbit" na niższe i emitowaniem przy tym energii w postaci fali elektromagnetycznej. Widmo takiego promieniowania mieści się często w zakresie światła (także widzialnego). Nawet gdyby poszukiwany przedmiot nagle „zaświecił" pod ziemią (co na to krety?) to i tak byśmy tego nie zobaczyli na powierzchni – mówiąc fachowo, fala o takiej częstotliwości ulegałaby całkowitemu stłumieniu w takim ośrodku jak ziemia.

Wspomniany wyżej dr Kiszkowski rozszyfrował, moim zdaniem bezbłędnie, zjawisko doskonale opisujące działanie omnitronów. Jest to po prostu Laserowo Indukowany Paramagnetyzm Antyprotonowy (w skrócie LIPA).

Skoro nie ma możliwości, by mogło to działać, to dlaczego są osoby, które twierdzą, że jednak działa, a co jeszcze bardziej zastanawiające, dlaczego przyrządy te mimo horrendalnej ceny znajdują swoich nabywców? Odpowiedzi należy zapewne szukać w warstwie psychologicznej z jednej strony, a marketingowej z drugiej. Skoro jest zapotrzebowanie, pojawia się podaż. Jeśli nie ma możliwości osiągnięcia sukcesu sprzętem dla jajogłowych, którego zasięgi w porównaniu do oczekiwań są śmieszne, to należy taki sprzęt wynaleźć (lub wymyślić). Wysoka cena ma uwiarygodnić niezwykłe walory proponowanego sprzętu.

Pozostaje jeszcze kwestia przekonania potencjalnego nabywcy do zakupu. Przede wszystkim należy go oczarować tą niezwykłą technologią, nakreślić zasadę działania (byle tylko, broń Boże, niezbyt przystępnie) oraz podeprzeć się nazwą jakiegoś zjawiska fizycznego (o którym pisali np. w „Superexpresie"), zarzucić mnóstwem szczegółów technicznych itd. Dobrze jest także przytoczyć kilka przykładowych sukcesów poszukiwawczych, a także roztoczyć wizję przyszłego bogactwa. Tak przygotowany delikwent jest gotowy do tzw. praktycznej demonstracji, chociaż prawdę powiedziawszy nierzadko jest on „napalony" już wcześniej. Nic tak nie odbiera rozumu jak wizja złota... Praktyczny pokaz najczęściej polega na odnalezieniu jakiegoś przedmiotu, np. złotej obrączki, schowanej na oczach nieszczęśnika, który za chwilę, niestety, stanie się posiadaczem omnitrona. Otóż ów nieszczęśnik, chcąc nie chcąc, odnajdzie ów ukryty przedmiot. Jego podświadomość nie da mu żadnej szansy. Nad tą cechą ludzkich zmysłów, jak sama nazwa sugeruje, nie jesteśmy w stanie zapanować. Wszelkie więc próby świadomego wykorzystania tego obszaru naszego umysłu mają najczęściej opłakane skutki. Pół biedy, jeśli są to tylko konsekwencje finansowe.

W środowisku poszukiwaczy dosyć szerokim echem odbiła się sprawa kontrowersyjnego odkrycia w Turcji, w paśmie Ararat, biblijnej arki Noego właśnie aparatem typu Omnitron (stąd nazwa jednego z modeli: Noah, czyli Noe). Otóż na jednym ze szczytów znajduje się formacja skalna już na pierwszy rzut oka przypominająca olbrzymią łódź. Cóż więc prostszego; fachowcy od omnitrónów bezbłędnie (ich zdaniem) wyznaczyli rozkład wręg i poszycia arki. Rozkład ów dokładnie pokrywał się z kształtem „łodzi". Czy efekt „badań" byłby identyczny, gdyby skały były niewidoczne? ...

I tutaj po raz wtóry zbliżyliśmy się do sedna sprawy. Jesteśmy manipulowani przez własną podświadomość z jednej, a hochsztaplerów z drugiej strony, wystarczy tylko, że przestaniemy trzeźwo myśleć. Nasze zmysły są mało doskonałe (na własne oczy widziałem, jak David Coperfield sprawił, że zniknęła Statua Wolności!) więc marzą nam się jakieś większe możliwości, które ponoć drzemią w zakamarkach naszego umysłu. Wystarczy odrobina medytacji i innych technik relaksacyjnych, opanowanie sztuki pełnej koncentracji, odpowiednie oprzyrządowanie (różdżka, omnitron) i już można odnajdywać wodę, złoto, leczyć nieuleczalne choroby, kreślić plany podziemnych instalacji, i to na dużą odległość lub w ogóle nie ruszając się z domu.

Poszukiwacze skarbów przez wielu ludzi uważani są za śmiesznych w swych dążeniach i naiwnych. Nie dawajmy im dowodu na to, że mają rację. Powiedzmy panom z różdżkami – nie, dziękuję.

Piotr Szyngiera

Literatura

Branson O. T. „Dowsing Devices". Tucson 1985.
Kiszkowski P. „Co warto wiedzieć o radiestezji". Gdańsk, 1997.
Krause J. H. „The Radio Gold Explorer". Science and Invention, 1926.
Scanmaster/Noah Instruction Manual. Omnitron Company 1991.
Szyngiera P. „Detektory dalekiego zasięgu – raport". Gliwice 1997.
Szyngiera P. „Przegląd metod i urządzeń do poszukiwania metali – raport". Gliwce 1999.

***

OD REDAKCJI:

Nie utożsamiamy się ani z poglądami autora artykułu o omnitronach, ani też z opiniami autora tekstu zamieszczonego wyżej. Prezentujemy obydwa stanowiska, pozostawiając ocenę Czytelnikom.

DENAR
wykrywacze metali

white's VIKING MINELAB Tesoro
PULSE STAR II

SPRZEDAŻ • KUPNO • ZAMIANA
WYPOŻYCZANIE • DORADZTWO

Prowadzimy sprzedaż ratalną
Wystawiamy faktury VAT

ul. Lipowa 6A/17
81–572 GDYNIA

tel. 0602 224 228
fax (058) 550 68 77

Wojskowy Instytut Historyczny

Geneza Wojskowego Instytutu Historycznego sięga wiosny 1917 r., kiedy to w ramach Komisji Wojskowej Tymczasowej Rady Stanu sformowano Sekcję Naukową. Od listopada 1918 r. komórka ta pod nazwą Sekcji IV Departamentu Naukowo-Szkolnego funkcjonowała w Ministerstwie Spraw Wojskowych. 19 grudnia 1918 r. została przekształcona w Instytut Historyczno-Wojskowy, podporządkowany Sztabowi Generalnemu WP. W połowie 1919 r. instytut został ponownie podporządkowany MSWoj. W 1921 r. przemianowano go na Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, a w 1935 r. – na Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy. Jego kompetencje sprowadziły się m.in. do działalności wydawniczej, propagowania tradycji wojskowych oraz nadzorowania studiów nad wybranymi tematami z dziejów wojskowści polskiej.

We wrześniu 1919 r. utworzono Sekcję Historyczno-Operacyjną Oddziału III Naczelnego Dowództwa WP, która w 1921 r. została przekształcona w Referat Historyczno-Operacyjną Oddziału III Sztabu Generalnego WP, przeformowany w 1922 r. w Biuro Historyczne Sztabu Generalnego. W 1927 r. doszło do zmiany nazwy na Wojskowe Biuro Historyczne. Podlegało ono Głównemu Inspektorowi Sił Zbrojnych. Zadaniem WBH było prowadznie studiów i prac badawczych z zakresu powszechnych dziejów wojskowych I wojny światowej, walk prowadzonych przez polskie formacje w tej wojnie, walk WP w latach 1918-1921 i wojen dawnych.

Bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej w Wojsku Polskim istniały dwie instytucje zajmujące się badaniami historyczno-wojskowymi (miały zbliżone zdania). Rozkazem organizacyjnym nr 0189/org. MON z 20 lipca 1945 r. utworzono przy Głównym Zarządzie Polityczno-Wychowawczym WP Biuro Historyczne, a rozkazem nr 0190/org. MON z 5 sierpnia 1945 r. powołano przy Sztabie Generalnym WP Oddział Historyczny.

17 kwietnia 1947 r. rozkazem nr 0128/org. MON obie instytucje połączono w Biuro Historyczne WP, podporządkowując je szefowi Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego WP (od 1950 r. GZP WP).

Działające od 1949 r. przy Sztabie Generalnym WP Biuro Studiów Wojennych połączono 7 lipca 1950 r. z Biurem Historycznym WP w Oddział (od kwietnia 1951 r. Zarząd) XI Studiów i Doświadczeń Wojennych Sztabu Generalnego WP, który 1 lutego 1954 r. przekształcił się w Zarząd Wojskowo-Historyczny Sztabu Generalnego.

9 lipca 1957 r. Zarząd rozwiązano i utworzono w jego miejsce Biuro Historyczne WP podległe GZP WP. 22 lutego 1959 r. przemianowano je na Wojskowy Instytut Historyczny. W roku 1996 włączono WIH do Akademii Obrony Narodowej.

Obecnie Wojskowy Instytut Historyczny Akademii Obrony Narodowej spełnia w Siłach Zbrojnych RP rolę koordynatora badań historyczno-wojskowych. W realizaji głównych zadań WIH współpracuje z uczelniami i instytutami naukowymi w kraju i za granicą, z których specjaliści uczestniczą w tematach badawczych prowadzonych przez instytut.

Wojskowy Instytut Historyczny prowadzi badania nad polską i powszechną historią wojskową. Problematyka badawcza obejmuje dzieje wojen i wojskowości polskiej ze szczególnym uwzględnieniem czasów nowożytnych i najnowszych. Aspekt powszechnej historii wojskowej sprowadza się w badaniach WIH w zasadzie do powszechnodziejowego tła polskiej historii wojskowej. Ważne miejsce zajmują prace nad dziejami techniki wojskowej oraz atlasem historyczno-wojskowym. WIH ściśle współpracuje z Instytutem Nauk Humanistycznych AON, innymi ośrodkami historyczno-wojskowymi (wojskowymi i cywilnymi) działającymi w kraju oraz służbami historycznymi innych armii, głównie USA, Francji, Belgii, Niemiec, Holandii, Rosji, Czech i Węgier. Jednocześnie realizuje swoje obecne zadanie podstawowe – zorganizował i prowadzi studia historyczne (magisterskie i licencjackie).

Ważnym zadaniem WIH jest gromadzenie materiałów źródłowych, opracowań i specjalistycznej literatury naukowej oraz ich udostępnianie. W WIH AON zgromadzono bogaty, unikatowy i niezmiernie przydatny dla badaczy historii wojskowej księgozbiór, archiwalia, druki, karty dokumentacyjne, ikonografię, kartografię itp.

Zbiory biblioteczno-archiwalno-bibliograficzne WIH AON obejmują: ponad 60 000 woluminów profesjonalizowanych druków zwartych (w tym 25 procent obcojęzycznych), ponad 1000 tytułów periodyków i czasopism, 2922 jednostki archiwalne dokumentów, 352 444 klatki mikrofilmów dokumentów, 3080 jednostek archiwalnych relacji i wspomnień, 4561 jednostek archiwalnych opracowań, 738 tytułów prasy podziemnej z okresu II wojny światowej, blisko 60 000 negatywów zdjęć, 42 629 zdjęć tematycznych, 12 568 zdjęć osobowych oraz około 1500 zdjęć tzw. zbioru katyńskiego, 26 189 arkuszy map topograficznych, 600 000 kart dokumentacyjnych.

W ciągu roku udostępnianych jest w WIH AON ponad 30 000 woluminów i 10 000 archiwaliów, wykonuje się średnio 50 zestawów tematycznych bibliografii, kwerend itp. dla ponad 8000 czytelników z kraju i zagranicy.

W ostatnich latach WIH AON główne zadania badawcze skupił na następujących problemach:

• „Powstanie Kościuszkowskie 1794 r." Wydano tom III „Z dziejów społeczno-politycznych insurekcji kościuszkowskiej". Cała trzytomowa synteza „Powstanie Kościuszkowskie" liczy 150 arkuszy wydawniczych.

• „Polska technika wojskowa". Przygotowano tom IV „Polska technika wojskowa 1939-1945" (ok. 60 arkuszy autorskich). Trwają prace redakcyjne. Zaawansowane są prace autorskie nad tomem V „Polska technika wojskowa 1945-1990".

• „Wojsko Polskie II PR". Wydano „Oficerowie dyplomowani Wojska Polskiego 1919-1939" oraz biografię gen. Mariana Kukiela, a także „Wojsko Polskie w latach 1921-1926".

• „Ludowe Wojsko Polskie 1943-1989". Wydano wybór dokumentów dotyczących Wojska Polskiego w „wydarzeniach poznańskich".

• „Oficerowie i żołnierze Wojska Polskiego w niewoli sowieckiej, wrzesień 1939 – maj 1940 r." Przygotowano do druku opracowanie (na podstawie dotępnej dokumentacji i literatury przedmiotu) na temat okoliczności wzięcia do niewoli polskich oficerów i żołnierzy, warunków obozowego bytowania, indoktrynacji politycznej i mordu w Katyniu, Charkowie i Miednoje.

• „Dzieje militarne w Prusach Wschodnich". Praca wydana. Ukazuje przebieg działań na obszarze Prus Wchodnich w okresie od X do XX wieku.

• „Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie (1947-1997). Organizacja i działalność". Trwają prace redakcyjne nad ukazaniem fragmentu dziejów emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii ze szczególnym uwzględnieniem emigracji piłsudczykowskiej, jej zaangażowania w działalność historyczo-badawczą.

• „Polonia obu Ameryk w wojskowo-mobilizacyjnych planach rządu RP na uchodźstwie". Praca wydana. Obejmuje plany rozwoju WP w latach II wojny światowej, opartych na potencjale mobilizacyjnym naszych rodaków z półkuli zachodniej.

• „Józef Piłsudski – organizator konspiracji i ruchu wojskowego przed I wojną światową 1904-1914".

• „Agresja Związku Sowieckiego na Polskę w 1939 r." Trwają prace redakcyjne nad kolejnym tomem.

• „Od Sandomierza do Opola i Raciborza". W pracy przedstawiono proces przygotowania wojsk 1 Frontu Ukraińskiego do opercji zaczepnej na przełomie 1944 i 1945 r. oraz przebieg operacji przeprowadzonej w styczniu 1945 r. pomiędzy Wisłą a Odrą.

Opublikowano m.in.

• „Generał Marian Kukiel 1885-1973. Żołnierz-historyk-polityk". Janusz Zuziak, Warszawa 1997. Oficyna Wydawnicza „Ajaks".

• „Działania militarne w Prusach Wschodnich". Praca zbiorowa pod red. W. Wróblewskiego.

• „Daj nam Boże sto lat wojny". M. Plewczyński. Wydawnictwo "Bellona".

• „3 Eskadra Wywiadowcza w wojnie 1918-1920". T. Kopański. Praca przekazana do Wydawnictwa „Fenix".

• „Czyn orężny i kwatera powązkowska żołnierzy PSZ". J. Smoliński. Wydawnictwo „Egros".

• „5 kresowa dywizja piechoty 1944-1945". W: „Historia 5 dywizji WP". T. Panecki. Wydawnictwo „Ajaks".

Henryk Julian Wcisło

Autor jest doktorem nauk humanistycznych, pracownikiem Wojskowego Instytutu Historycznego.

Adres WIH AON: Wojskowy Instytut Historyczny Akademii Obrony Narodowej, ul. Czerwonych Beretów 124, 00-910 Warszawa-Rembertów, tel. 022 681 39 12, tel./fax 611 90 59
Informacje można uzyskać w Pracowni Dokumentacji Naukowej, mgr Zbigniew Wojciechowski, tel. 022 681 30 84

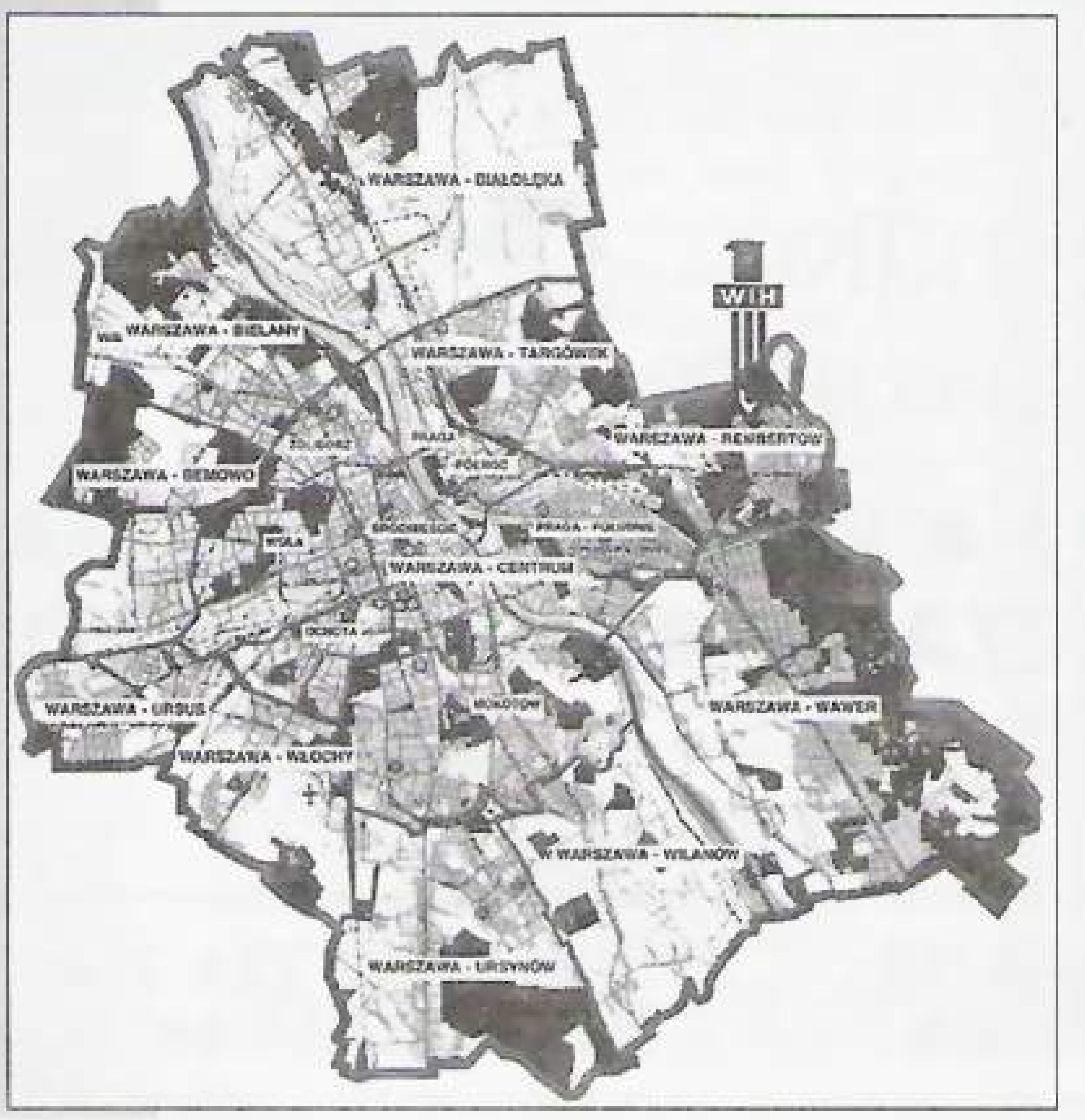

IX MIĘDZYNARODOWY ZLOT MIŁOŚNIKÓW EKSPLORACJI

UWAGA – ZMIANA TERMINU!

IX Międzynarodowy Zlot Miłośników Eksploracji odbędzie się w dniach **23-25 kwietnia 1999 r. w Spale**. Zakwaterowanie w Domu Wczasowym „Rogacz", 97-214 Spała, ul. Nadpiliczna 4 (noclegi I kategorii) oraz w Domu Wczasowym „Żubr" (noclegi III kategorii – konieczny śpiwór). Biuro organizacyjne zlotu czynne 23 kwietnia od godziny 15.00 w Domu Wczasowym „Rogacz". W czasie trwania zlotu odbędą się Pierwsze Otwarte Mistrzostwa Polski w Eksploracji (zainteresowanych prosimy o zabranie wykrywaczy), wybory władz Eksploracja Polska Klub, zwiedzanie między innymi Inowłodza, Jelenia i Konewki oraz wiele prelekcji z zakresu między innymi archeologii, historii i konserwacji zabytków.

Na miejscu – możliwość wykupienia gorących posiłków oraz korzystania z bufetu. Szczegółowe informacje wraz z programem zlotu wyślemy pocztą tym osobom, których adresami dysponujemy. Zapraszamy wszystkich miłośników eksploracji do Spały.

Organizatorzy

Informacji udzielają oraz zgłoszenia przyjmują:
- Jacek Franasik, tel. 0 601 23 88 55; 0 42 652 92 00 (wieczorem) e-mail: maxwelt@polbox.com
- Jerzy Błaszczyk, tel. 0 42 653 46 79 fax 0 42 632 70 99 (z dopiskiem Karol Natkański) Korespondencja: PTTK Zarząd Oddziału Łódź-Polesie, 90-630 Łódź, ul. Lipowa 48 (z dopiskiem „zlot")

UWAGA: Informację o zmianie terminu zlotu otrzymaliśmy od organizatorów już po wydrukowaniu numeru marcowego „Odkrywcy".

Odkrywanie w Internecie

TOP TEN, czyli najciekawsze znaleziska na terenach Polski
http://www.polbox.com/d/dark/topten.htm
Dariusz Kowalik prezentuje najciekawsze, jego zdaniem, znaleziska będące wynikiem poszukiwań amatorskich (np. sztandar 73 Pułku Piechoty z Katowic, 12-tonową wieżę artyleryjską, wyprodukowaną w 1897 r. w zakładach Emila Skody w Pilznie, fragment... Bursztynowej Komnaty, który znaleziono podobno w Niemczech). Strona aktualizowana, autor czeka na propozycje.

Testy wykrywaczy metali
http://www.polbox.com/d/dark/testy.htm
To również strona Dariusza Kowalika. Autor proponuje metodologię testowania i prezentuje zestawienie porównawcze wyników testów przeprowadzanych przez użytkowników sprzętu.

Bibliografia publikacji kolekcjonerskich
http://www.miramex. com.pl/WITKA/4K/BK5. HTM
Znajdziemy tutaj informacje o publikacjach KK ZG PTTK („Biuletyn Kolekcjonerski", publikaje z zakresu kolekcjonerstwa krajoznawczego), zestawienie referatów z sesji, spotkań i sympozjów kolekcjonerskich (od 1978 do 1998 roku) oraz wybranych artykułów o tematyce kolekcjonerskiej, zamieszczonych w różnych czasopismach (1977-1998). Wymieniono także katalogi i informatory z wystaw kolekcjonerskich (1964-1998).

Katalog średniowiecznych stron www
http://średniowiecze.koti.com.pl/medie/zyci.htm
Wśród hobbystów coraz powszechniejsza jest – jak się wydaje – moda na powrót do średniowiecznych tradycji rycerskich. Oto dowody: Konwent Braci Rycerskiej Smoczej Kompanii, Bractwo Rycerskie Ziemi Lubuskiej, Bractwo Miecza i Kuszy (Warszawa), Bractwo Rycerskie Zamku Bolków, Oławska Chorągiew Bractwa Rycerskiego Zamku Bolków, Gdańska Szkoła Fechtunku Bractwa Świętego Jerzego, Bractwo Rycerskie Zamku Brodnickiego, Kujawska Inżynieryjna Kompania Piesza „Baszta", Krakowskie Bractwo Rycerskie Signum Polonicum, Sanockie Bractwo Rycerskie, Feudalna Formacja Piesza, Bractwo Rycerskie Ziemi Lubelskiej, Bractwo Najemne Wolna Kompania z Poznania... Sporo, prawda?

Zainteresowanych tematyką militarystyczną odsyłamy na stronę http://www.cyber.com.pl/archiwum/9/a9.htm
Mocny tytuł: „Militaryści wszystkich krajów, łączcie się!"

MD,mar

Świadczenia dodatkowe
Opłata
zł .... gr ......
Nadawca (imię i nazwisko – nazwa)
ulica, nr domu, nr mieszkania, miejscowość
ozn. kodowe
poczta
PRZEKAZ POCZTOWY
na zł .... gr
Słownie
ADRESAT WYDAWNICTWO „JMK" – Marek Dudziak
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA"
62-500 KONIN, ul. 3 Maja 32
PKO BP O/KONIN 10202746-902450-270-1
Nr nadania
Stempel okręgowy
Dzień nadania
podpis przyjm.
podpis kontr.
Uwaga: Części zakreślone tłustą linią wypełnia nadawca atramentem, długopisem, drukiem, maszyną do pisania lub za pomocą tuszowego odcisku stempla.

PRENUMERATA

Przyjmujemy zamówienia na numery od 4/99 do 6/99 (wszystkie bądź wybrane przez Państwa). Cena jednego egzemplarza wynosi 5 złotych. Prosimy wypełnić przekaz pocztowy według wzoru (kwota zależy, oczywiście, od liczby zamówionych egzemplarzy), a na odwrocie wyraźnie zaznaczyć, które numery chcecie Państwo otrzymać.

BARDZO PROSIMY O CZYTELNE WYPEŁNIENIE PRZEKAZU I PODANIE DOKŁADNEGO ADRESU, POD KTÓRY MAMY WYSŁAĆ „ODKRYWCĘ".

Prenumeratę na drugie półrocze ogłosimy w numerze 5.

OGŁOSZENIA BEZPŁATNE

Drukujemy bezpłatnie ogłoszenia zawierające do trzydziestu słów (nie licząc adresu). Prosimy o czytelne pismo! Za treść ogłoszeń nie odpowiadamy. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji.

- WYKRYWACZE metali z rozróżnianiem lub bez. Zasięg 3 metry, gwarancja, nowe, profesjonalne. Tanio sprzedam. Jacek Sekuła, ul. Batorego 58, 38-300 Gorlice, tel. (018) 353 11 49.
- POSZUKUJĘ informacji, zdjęć oraz literatury na temat czołgu niemieckiego PzKpfw. V Panther. Nawiążę kontakt z osobami interesującymi się bronią pancerną w celu wymiany literatury i informacji. Artur Majewski, Dragacz 16, 86-134 Dragacz.
- SPRZEDAM wykrywacze metali typu Pulse Induction (PI) o zasięgu w gruncie 210 cm. Przyrząd jest prosty w obsłudze, waży 1,45 kg i nie powoduje zmęczenia ręki. Cena za sztukę 650 zł. Przemysław Zapart, ul. Topolowa 5, 28-300 Jędrzejów, woj. świętokrzyskie, tel. (041) 386 31 86.
- SPRZEDAM wysokiej klasy wykrywacze metali typu PI z rozróżnianiem o zasięgu 3 m oraz PI ramowe o zasięgu do 4,5 m. Ceny 750 do 1800 zł. Zbigniew Nowak, ul. Leśna 7e/3, 42-300 Myszków.

DESA UNICUM zaprasza

W październiku ubiegłego roku w Warszawie powstała spółka DESA UNICUM, łącząca doświadczenia DESY w handlu dziełami sztuki z dorobkiem Domu Aukcyjnego UNICUM – najstarszej w Polsce firmy organizującej aukcje. DESA UNICUM zaprasza do swoich galerii i na aukcje, których zaplanowała w tym roku dziesięć (pierwszą – 7 marca). Oferta spółki prezentowana jest w katalogach. Koszt prenumeraty rocznej katalogów wynosi 120 zł, poza subskrypcją jeden katalog aukcyjny malarstwa i rzemiosła artystycznego kosztuje 35 zł, katalog aukcji kolekcjonerskiej – 5 zł.

Szczegółowe informacje można uzyskać telefonicznie pod numerami 621 66 15 lub 622 04 60 – Biuro Zarządu oraz 625 57 03 lub 625 57 64 – Dom Aukcyjny (kierunkowy 022).

Śladem tajnej listy – Zasieki

Pozycja 17 na opublikowanej w numerze 7 „Odkrywcy" liście to obiekt: „powiat Żary, gmina Tuplice, miasto Barść – Zasieki". Autor wykazu opisuje go następująco: „Dawna fabryka materiałów wybuchowych. Teren zajęty przez obiekt wynosi kilkadziesiąt hektarów". Idąc tym tropem trafiliśmy do dzisiejszej gminy Brody w powiecie Żary w województwie lubuskim. Dawniej teren należał do gminy Tuplice. Zasieki to dzisiaj wieś położona nad Nysą Łużycką. Z dawnej części miasta Forst, w której do 1945 roku mieszkało około 12000 ludzi, dziś pozostało niewiele budynków i 273 mieszkańców. (Do tego tematu powrócimy na łamach „Odkrywcy".)

Jedziemy drogą na południe wzdłuż rzeki. Po przejechaniu 2-3 kilometrów trafiamy do wsi Brożek (taką nazwę ma dziś powojenny Barść), za którą rozciąga się teren fabryki „Deutsche Sprengchemie G.m.b.H – Werk Forst". Nie na kilkudziesięciu, jak pisze autor wykazu, a na 418 hektarach znajdują się 394 obiekty betonowe i ceglane. Łączy je około 70 kilometrów dróg betonowych.

W okresie drugiej wojny światowej produkowano tutaj materiały wybuchowe. Pracownikami, oprócz Niemców, byli głównie Polacy i Żydzi – więźniowie umieszczeni w obozie pracy. Niestety, w przewodnikach po miejscach walk i męczeństwa z lat 1939-1945 miejsce to nie jest wskazane. (Najbliższy opisany w przewodniku obóz funkcjonował w Lubsku.) Na teren ten nie spadła ani jedna bomba, a i działania wojenne ominęły fabrykę. Podobno po drugiej stronie torów kolejowych znajdowała się makieta myląca lotników, którzy właśnie ją zbombardowali zamiast prawdziwej fabryki.

W 1945 roku obiekt zajęli Rosjanie. Zdemontowali i wywieźli wszystkie urządzenia technologiczne. Następnie wkroczyło tu przedsiębiorstwo z Żar, które do 1955 roku demontowało wszystko to, co się dało – kable, rury, grzejniki itp. towary potrzebne do odbudowy kraju. W latach sześćdziesiątych teren zajęło Przedsiębiorstwo Obrotu Spożywczymi Towarami Importowanymi – POSTI, które urządziło tu magazyny, m.in. strategiczne, importowanych przez siebie towarów – kawy, herbaty, pieprzu itp. Zajmowało 130 obiektów o powierzchni 25 000 metrów kwadratowych. Działalność zakończyło w 1990 roku, kiedy teren został przekazany gminie Brody, która włada nim do dziś. Początkowo planowano urządzić tu Wolny Obszar Celny, teraz szuka się innego gospodarczego wykorzystania tego obszaru, nie wykluczając, że co najmniej w części może zostać zagospodarowany turystycznie. Aktualnie znajdujące się w dobrym stanie obiekty stoją puste. Jedynie pięć z nich wykorzystuje niewielki zakład oczyszczania żeliwa. Do niedawna funkcjonowała też tutaj strażnica WOP-u, dziś opuszczona.

Hauptverwaltung

An die Betriebsleitung Forst

Unsere Zeichen und Abteilung B.6 Bk/Lt. Tag: 27. Okt. 1941

Betrifft: Beschaffung von Schuhwerk.

Im Besitz Ihres Schreibens vom 24.d.M. bitten wir Sie, außer den eingereichten 5 Anträgen noch um Hereichung des dazugehörigen Bestellvorschlages.

Deutsche Sprengchemie G.m.b.H.

Przeprowadzone na koszt rządu Brandenburgii badania skażenia terenu wykazały, że w wielu miejscach normy są przekroczone, szczególnie przez związki siarki. W części obiektów, mimo upływu pięćdziesięciu lat, do dziś pozostał zapach chemikaliów. Na terenie fabryki nie trafia się na niewypały itp. wojenne znaleziska. Poszukiwaczy przyciąga jedynie budynek tzw. „biurowca", w którego piwnicy walają się resztki poniemieckiej dokumentacji. Znajdujemy tu pośród tysięcy zbutwiałych kartek formularze, faktury, zamówienia, karty pracy. Niektóre czyste, inne – wypełnione – przypominają lata wojny, dokumentują życie fabryki.

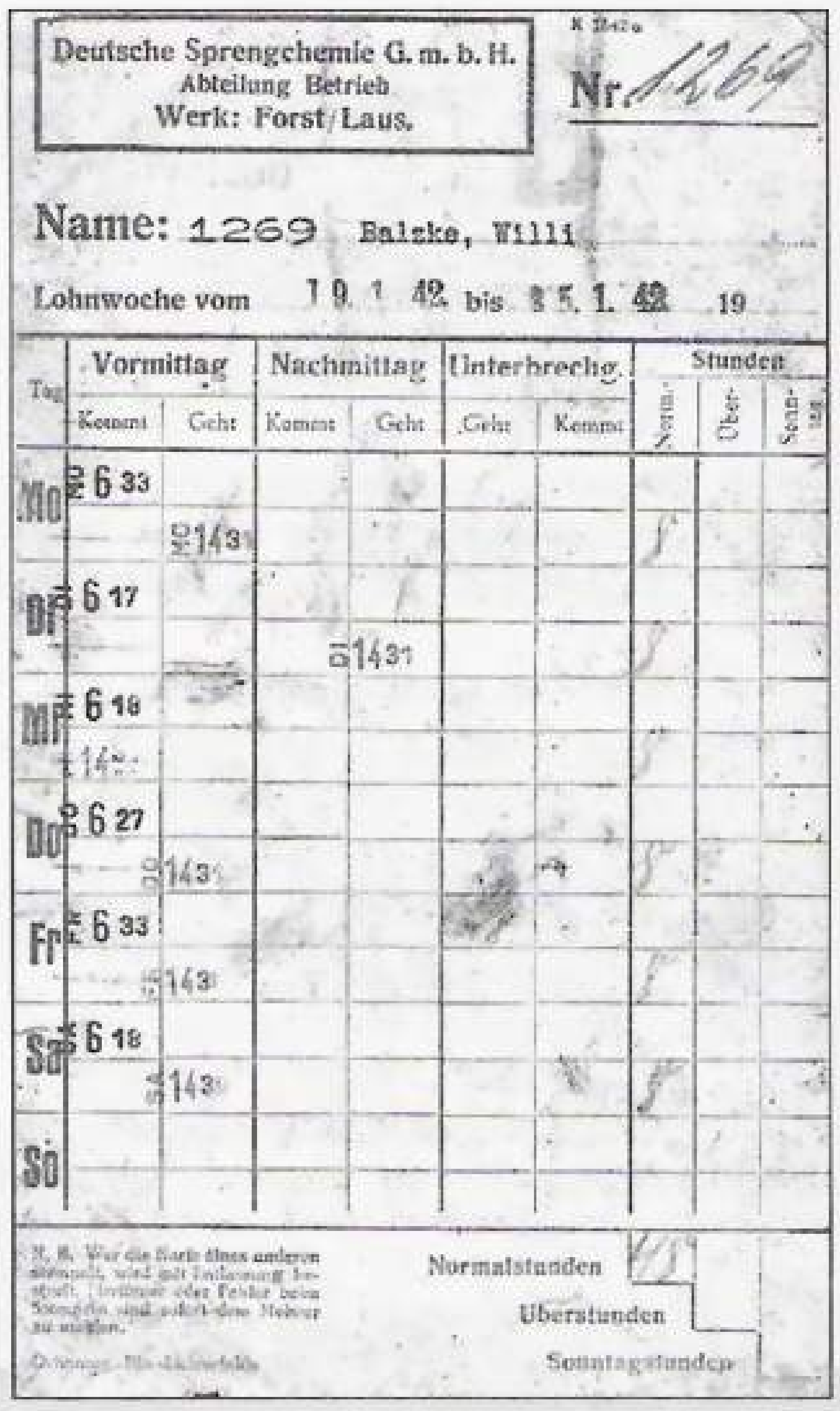
Deutsche Sprengchemie G. m. b. H.
Abteilung Betrieb
Werk: Forst/Laus.

Nr. 1269

Name: 1269 Balzke, Willi

Lohnwoche vom 19. 1. 42 bis 25. 1. 42 19

Tag	Vormittag Kommt	Vormittag Geht	Nachmittag Kommt	Nachmittag Geht	Unterbrechg. Geht	Unterbrechg. Kommt	Stunden Norm.	Stunden Über-	Stunden Sonn-tag
Mo	6 33	14 31							
Di	6 17		14 31						
Mi	6 16								
	14								
Do	6 27	14 31							
Fr	6 33	14 31							
Sa	6 18	14 31							
So									

Normalstunden

Überstunden

Sonntagsstunden

Dokumenty znalezione w „biurowcu"

Ciekawy jest też obiekt o nieznanym przeznaczeniu, mający czterokondygnacyjną część podziemną, na której dnie leży dziś ogromny zbiornik. Niektórzy twierdzą, że była tu huta, inni – że elektrownia. Miejscowi nazywają budynek „nitrownią".

Wędrując po terenie fabryki należy zachować szczególną ostrożność. Pełno tu dziur, w które łatwo wpaść, a na pomoc nie ma co liczyć, bo rzadko kto tędy wędruje.

Marek Dudziak

Jeżeli ktoś ma więcej informacji na temat opisanego wyżej obiektu, prosimy o listy, chętnie wydrukujemy. Za miesiąc – plan terenu.

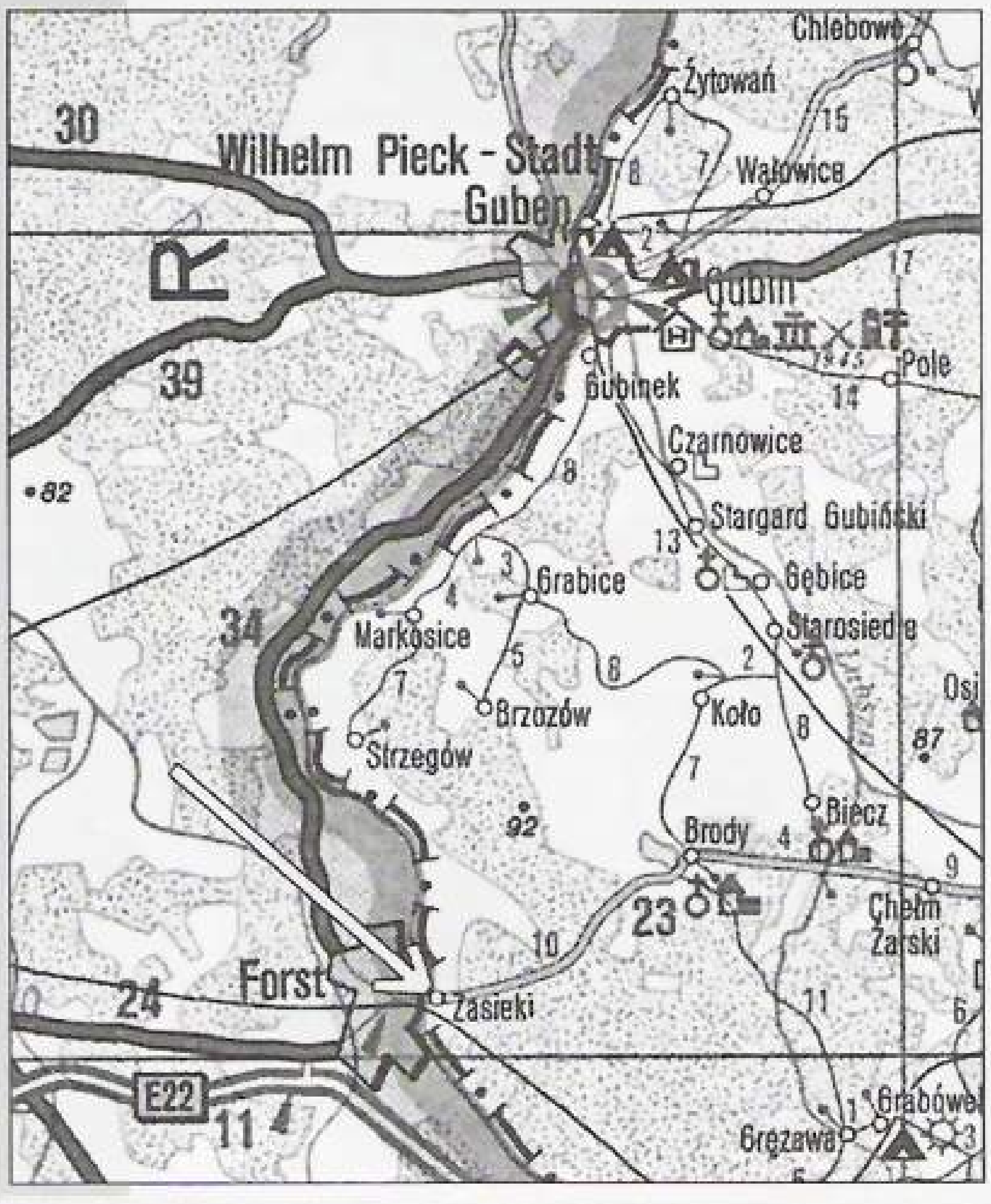

Zasieki to jedno z wielu zagadkowych miejsc w Polsce (fragment mapy krajoznawczo-samochodowej „Województwa: gorzowskie, leszczyńskie, zielonogórskie"; PPWK, Warszawa 1978)

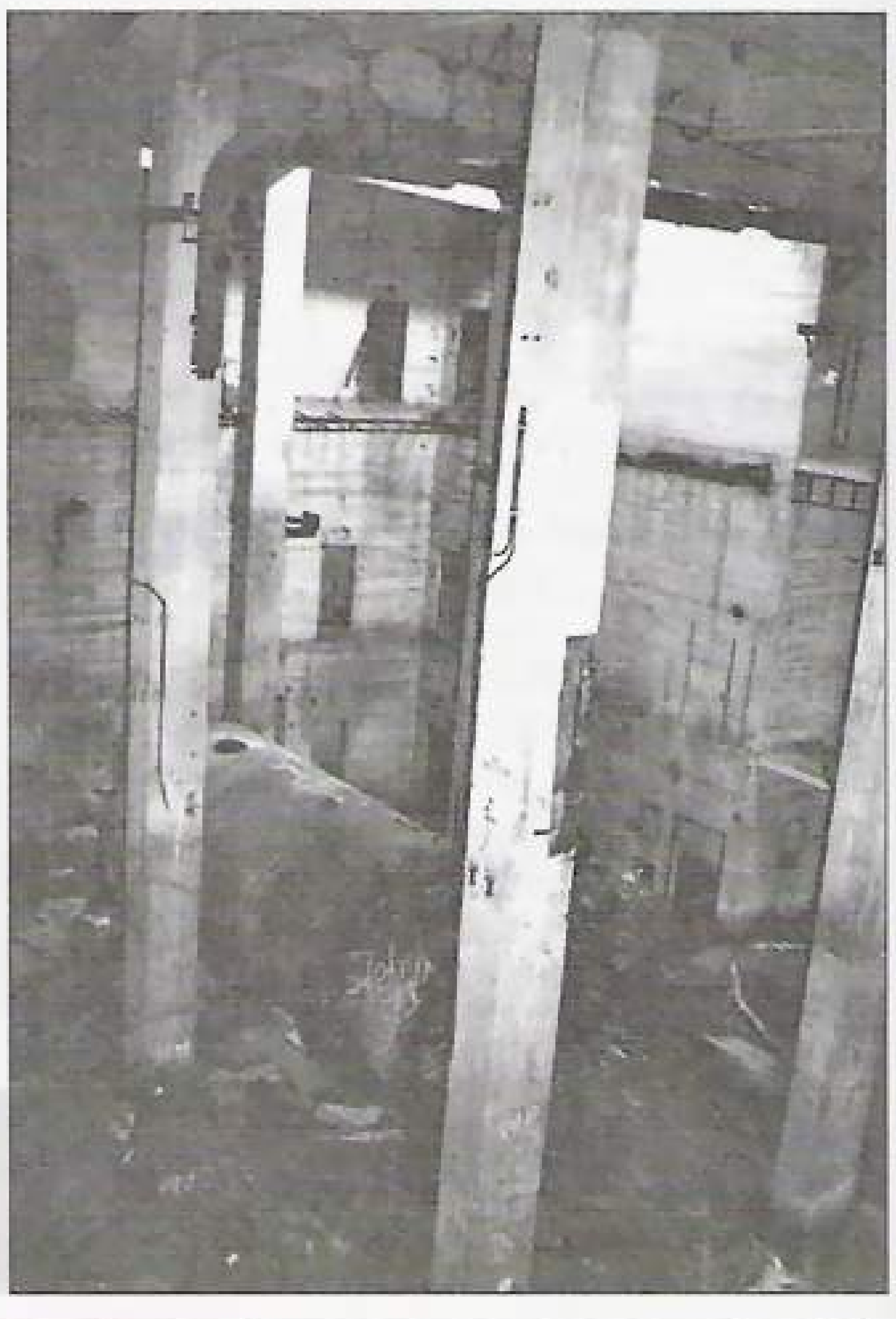

Jak na ironię – są w Zasiekach urocze zakątki... Fot. z prawej: Zbiornik na dnie czterokondygnacyjnej części podziemnej fot. ODKRYWCA

O tym się pisze

KSIĘŻNICZKA PŁCI MĘSKIEJ

Joanna Lamparska, autorka wielu sensacyjnych opowieści o Dolnym Śląsku, „odnalazła" na zamku w Grodnie szkielet kobiety z męską miednicą. Księżniczkę „zmontował" prof. Borysławski i utwardził ją chemolakiem. Do dziś straszy turystów przykuty do muru szkielet.

Zamek Grodno w Zagórzu Śląskim kryje jednak i inne tajemnice. W XV w. był siedzibą rycerzy-rozbójników. Być może właśnie tam schowali oni swoje łupy.

(Joanna Lamparska, *Kości na skale*, „Słowo Polskie" – 19.02.1999 r.)

TAJEMNICE PRZEMYSKIEJ ARCHIKADEDRY

W niedzielę zapustową 1773 roku zawaliło się sklepienie nawy głównej przemyskiej świątyni. Katastrofa nastąpiła najprawdopodobniej dlatego, że po generalnej przebudowie kościoła z gotyckiego na barokowy, rozpoczętej w 1724 r., dokonano złych obliczeń statycznych murów i filarów, które nie wytrzymały ciężaru nowo nałożonego stropu barokowego. W lutym tego roku specjalna ekipa konserwatorska zeszła do podziemi. Na pierwszym poziomie piwnic znajdują się odkryte w ostatnich latach fragmenty rotundy św. Mikołaja z XI w. oraz część murów innej świątyni, prawdopodobnie z X w. W kryptach spoczywają tu przemyscy biskupi. Zaciekawienie konserwatorów budzi to, co znajduje się niżej: „To przecież niemożliwe, żeby nie pozostał żaden ślad po tamtej katastrofie i nagrobkach. Hipoteza jest następująca: Na gruzach położono drugie sklepienie...". „Ponad nami musi coś być" – twierdzi magister Łucja Turczak uczestnicząca w ekspedycji.

Być może konserwatorzy odkryją drugą kondygnację z cennymi pomnikami nagrobnymi i kryptami, którą wstępnie datują na XV-XVI wiek.

(Jan Miszczak, *Zamurowana tajemnica*, „Nowiny" – 19-21.02.1999 r.)

CO KRYJE KOSTRZYŃSKA STARÓWKA

Szczecińscy archeolodzy badają zawartość starych krypt odkrytych podczas odgruzowywania zburzonego w czasie wojny kostrzyńskiego kościoła. W pierwszej, umiejscowionej pod ołtarzem, znaleziono zmurszałe trumny, szczątki ludzkich kości, elementy trumiennych ozdób. Kolejne przypadkowo odkryte krypty zawierają cenne dla archeologów znaleziska, wymagające dokładnego zbadania. Zdaniem Eugeniusza Wilgockiego, kierownika Pracowni Archeologicznej w Szczecinie, teren wokół kościoła jest jednym wielkim cmentarzyskiem, gdzie potrzeba wielu dokładnych badań. Niewykluczone, że kościół posiada podziemne przejścia, np. przy ołtarzu, tam gdzie wchodzi się do zakrystii i gdzie znajdują się schody prowadzące do podziemi. To przejście jest jednak w pewnym miejscu zamurowane. Nikt dotąd nie zbadał, co kryje się za tym murem.

(Marek Arent, *Tajemnice kościelnej krypty*, „Gazeta Kostrzyńska" – 25.02.1999 r.)

NA TROPACH MIĘDZYNARODOWEGO GANGU HANDLARZY DZIEŁ SZTUKI

19 maja 1998 roku na rynku heskiego miasteczka Lichtenau funkcjonariusze Wydziału Kryminalnego Prezydium Policji w Eschwegen zatrzymali dwóch Polaków zajmujących się handlem kradzionymi obiektami zabytkowymi. Próbowali oni przekazać obywatelowi Austrii renesansowe epitafium z piaskowca, przedstawiające rycerza w zbroi. Odzyskany obiekt zdeponowano w policyjnym magazynie, a eksperci od zabytków kultury materialnej wycenili wartość płyty na 30 tysięcy marek.

Teraz chodzi już o ustalenie, kogo przedstawia wykuty w piaskowcu wizerunek rycerza. Zainteresował się tym Wolfrad von R., potomek rodziny spokrewnionej z Schoenaichami. Z zachowanych bowiem na płycie napisów i kartuszy z herbami wynika, że jest to jeden z Schoenaichów o imieniu Philipp. Kolejną kwestią do wyjaśnienia pozostaje miejsce pochodzenia płyty. Na Śląsku i Łużycach jest kilka nekropolii Schoenaichów. Największa – to kaplica w Siedlisku nad Odrą. Ale to nie ten trop. Autor artykułu wiedzie nas zawiłymi ścieżkami historii rodu, by w końcu dotrzeć do Gębic, niewielkiej osady położonej przy trakcie gubińsko-lubuskim. W 1502 roku otrzymał ją w lenno od Zygmunta i Hieronima Bibersteinów Jan II Schoenaich, który dzieląc dwa dobra między trzech synów, właśnie Gębice darował Filipowi. Dzieje rodziny Filipa i jego żony Małgorzaty to osobna część artykułu, zakończona rozważaniami dotyczącymi treści testamentu Filipa – arcyciekawa to historia. A wracając do naszej rzeczywistości, zadajemy sobie pytanie: jak to możliwe, by nikt nie zauważył demontażu ponad 500-kilogramowej płyty i nie zwrócił uwagi na to, jak „przekracza" ona polską granicę?...

(Jerzy Piotr Majchrzak, *Podzwonne dla Filipa*, „Gazeta Lubuska" – 28.02.1999 r.)

„RHEINEKINDER" Z ODZYSKU

Pracownicy Muzeum Pomorskiego Okręgu Wojskowego na podstawie nakręconego filmu wideo stwierdzili, że na dnie jeziora w Lnianie znajduje się unikatowy egzemplarz eksperymentalnego pocisku o napędzie rakietowym z okresu drugiej wojny światowej, o nazwie „Rheinekinder". Muzealnicy domagają się jego wydobycia i dołączenia do zbiorów. Specjaliści z Bazy Marynarki Wojennej zapewniają, że jeszcze przed latem obiekt zostanie zneutralizowany (jeśli zawiera materiał wybuchowy) bądź wydobyty i przekazany do muzeum.

(jok, *Tajemnica jeziora*, „Ilustrowany Kurier Polski" – 16.02.1999 r.)

RĘKOPISY UKRYTE W DZBANACH

Groty w Qumran nad Morzem Martwym odkryte zostały w 1947 roku. Badania archeologiczne prowadzone przez następne lata ujawniły w nich ponad 800 rękopisów przechowywanych początkowo w dzbanach, które zostały później potłuczone. Były to teksty aramejskie, hebrajskie i greckie na papirusach i skórach, a jeden na zwoju miedzianym. Pochodziły z okresu od III wieku p.n.e. do I wieku n.e. i stanowiły archiwum gminy esseńczyków – żydowskiego ugrupowania religijnego sprzed 2 tysięcy lat. Rękopisy z Qumran to najstarsze znane teksty biblijne, które w niewyjaśnionych okolicznościach ukryte zostały w dzbanach. Polski naukowiec doktor Jacek Michniewicz z Instytutu Geologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu prowadzi prace zmierzające do wyjaśnienia kiedy zostały wykonane dzbany i skąd pochodzą. Podczas badań polski geolog stosuje technikę umożliwiającą określenie, z jakich złóż gliny wykonano historyczne dzbany. Między innymi używa reaktora atomowego.

(A.M., *Tajemnice dzbanów z Qumran*, „Rzeczpospolita" – 21.02.1999 r.)

TAJNY SCHOWEK CZY „NIEWYGODNE" ZBIORY?

750 sztuk amunicji, 5 granatów, pocisk artyleryjski oraz 10 niekompletnych pistoletów znaleźli płetwonurkowie-saperzy na głębokości 4-5 metrów w Orłowie w okolicy mola. Jan Kostrzyński – naczelnik Wydziału Gospodarki Komunalnej – twierdzi, że rok temu, przed oddaniem mola do użytku, dno morskie było penetrowane i niczego w tym miejscu nie znaleziono. Saperzy uważają, że znalezisko pochodzi z czasów wojny, policjanci twierdzą, że jest nowsze. Nieoficjalnie mówi się, że broń i amunicję wrzucił do morza kolekcjoner, chcąc się pozbyć niewygodnych zbiorów.

(mat., *Arsenał znaleziony w morzu*, „Wieczór Wybrzeża" – 25.02.1999 r.)

ODKRYCIA KRAKOWSKICH ARCHEOLOGÓW

W sanockim kościele oo. Franciszkanów trwają prace wykopaliskowe krakowskich archeologów pod kierunkiem Bartłomieja Koniecznego. Największą sensację wzbudziły odkryte niedawno, dość dobrze zachowane, szkielety dzieci. Pierwszy z nich znaleziono pod posadzką kaplicy w grobowcu zbudowanym z miejscowego piaskowca, a drugi w resztkach drewnianej trumny nie opodal grobowca. Znaleziono także kilkadziesiąt monet. Najstarsza to srebrny półgrosz Zygmunta Starego z 1509 roku.

(czak, *Tajemnice kaplicy św. Franciszka*, „Super Nowości" – 3.02.1999 r.)

UNIKALNY PANCERZ

Zbiory Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu wzbogaciły się o polską płytę pancerną fortecznej strzelnicy ciężkiego karabinu maszynowego, tzw. pancerz pionowy. Płyta jest w dobrym stanie, zachował się nawet sworzeń pod forteczną lawetę. Pancerz pochodzi z jednego ze schronów Obszaru Warownego „Śląsk" i wysadzony został w czasie działań wojennych w 1940 roku przez żołnierzy Wehrmachtu. Jest to unikalny, pierwszy w polskich zbiorach tego typu eksponat.

(Jerzy Sadowski, *Nowe znalezisko ze Śląska* – „Militaria" nr 1/99)

TAKIE CIĘŻKIE ZNALEZISKO

Lufa od najskuteczniejszej i najbardziej znanej niemieckiej armaty przeciwpancernej z okresu drugiej wojny światowej ma 6,61 m długości i waży 2,5 tony. Armata Pak 41/43, kaliber 8,8 cm, w wersji mobilnej jako „Nashorn", montowana była na przerobionej lawecie ciężkiej haubicy 15 cm sFH18. Lufę odnalazł w Grabinie niedaleko Płocka autor artykułu Piotr Gołąb, który w bardzo ciekawy sposób przedstawia zarówno historię swego odkrycia, jak też niezwykłe dzieje odnalezionego obiektu.

(Piotr Gołąb, *Krótka historia długiej armaty* – „Militaria" nr 1/99)

Opracowała Jola Dudziak

Z „Odkrywcą" przez świat

Od brytyjskiego wydawnictwa Windrow & Greene otrzymaliśmy książkę „Auto Modelling Masterclass" autorstwa Mata Irvine'a, poświęconą budowaniu i kolekcjonowaniu modeli samochodów. W publikacji omówiono m.in. początki tego ciekawego hobby, kwestię skali, budowę modelu plastikowego, wymieniono twórców poszczególnych wzorów. Przedstawiono sposób wykonywania modeli – od podstawowej konstrukcji do malowania i wykańczania oraz dodawania akcesoriów i „tła" – garaży, domów, postaci, krajobrazów itd. Poruszono również sprawę kolekcjonowania jako zjawiska społecznego. W aneksie znajdziemy m.in. adresy organizacji i czasopism kolekcjonerskich. Książka wprowadza czytelnika w świat małych samochodzików, które tylko wielkością różnią się od swoich pierwowzorów.

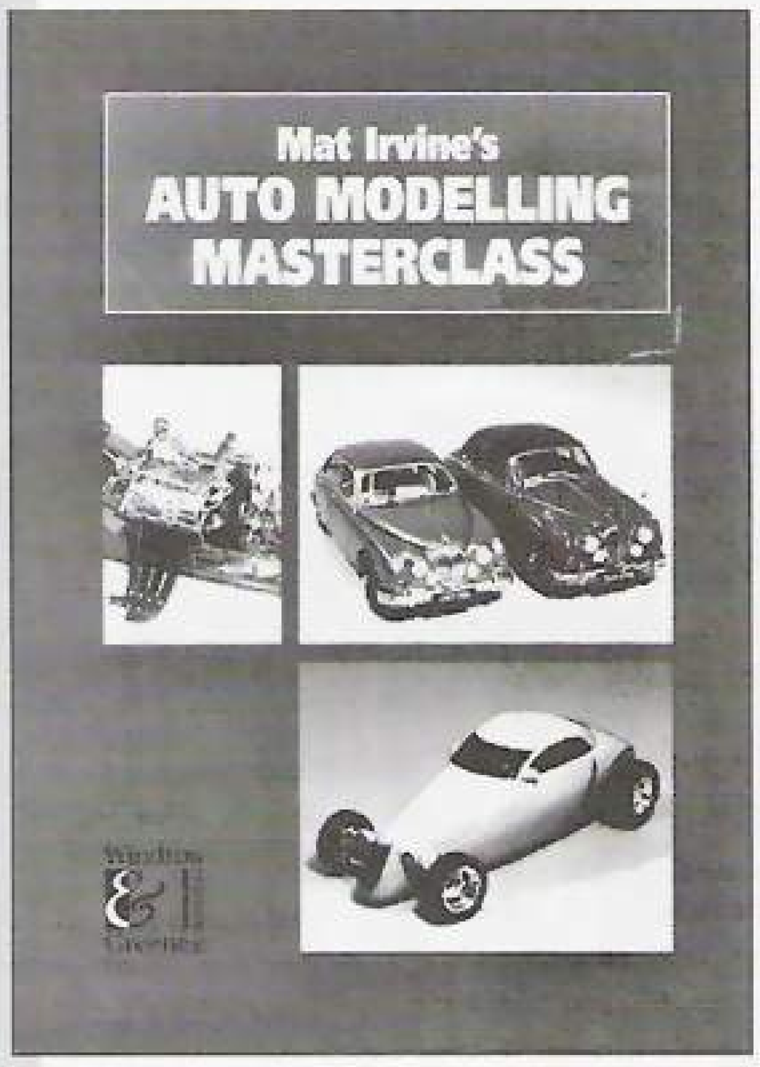

128 stron, 200 barwnych fotografii, twarda oprawa.

Cena: 19,95 funta.

Wydawca: Compendium Publishing, 5 Gerrard Street, London W1V 7LJ, tel. 0171 287 45 70, fax 0171 494 05 83

Dystrybucja: Osprey Publishing, 1 st Floor, Elms Court, Chapel Way, Botley, Oxford, 0X2 9LP, tel. 0186 572 70 22, fax 0186 572 70 19

Pałace Opolszczyzny

Tę książkę naprawdę warto mieć! Opracowana przez historyków, heraldyków i dziennikarzy publikacja Wydawnictwa „ADAN" jest – naszym zdaniem – najlepszą z dotychczas wydanych pozycji tego rodzaju. Ukazuje 41 zamków i pałaców Opolszczyzny – dzieje budowli i stan obecny oraz krótkie historie rodów, do których należały. Prrdstawia również i objaśnia ich herby. Książka jest bogato ilustrowana. Zawiera barwne litografie i zdjęcia archiwalne obiektów zestawione z fotografiami współczesnymi. Cenne uzupełnienie stanowi mapka lokalizująca opisane zabytki. Orientację w pałacowo-zamkowym świecie ułatwia słownik podstawowych terminów architektonicznych. Przystępnie i ciekawie wyjaśniono także najważniejsze pojęcia z dziedziny heraldyki. Publikacja interesująca i pięknie wydana.

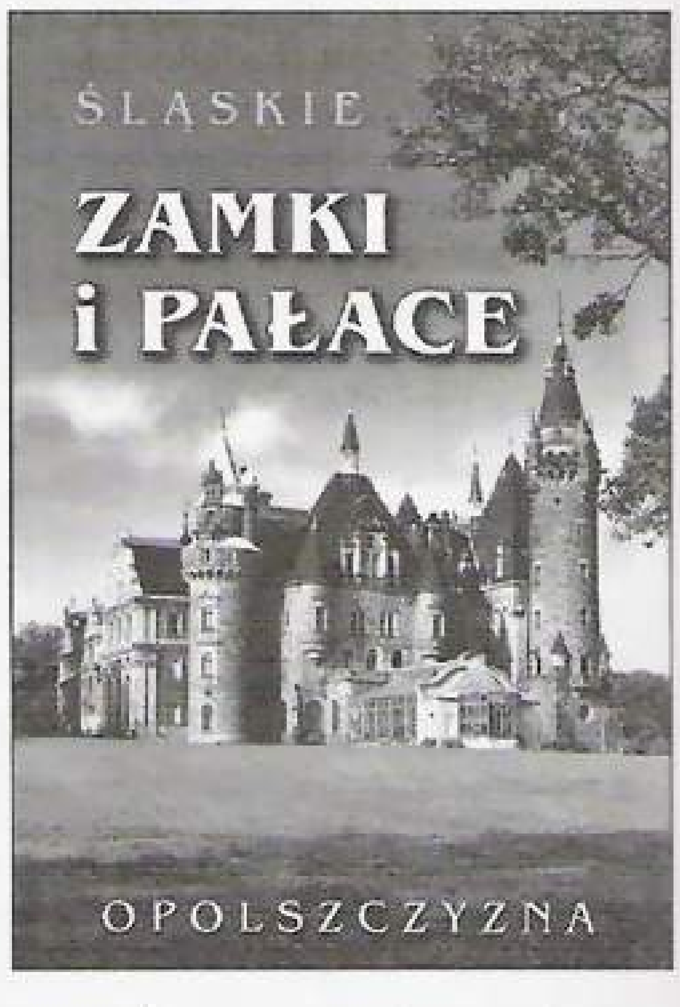

„Śląskie zamki i pałace. Opolszczyzna." Wydawnictwo „ADAN", Opole 1998.

Zamówienia prosimy kierować pod adresem: Agencja Fotograficzno-Wydawnicza „ADAN", ul. Reymonta 8A/3, 45-072 Opole

Cena jednego egzemplarza wynosi 46 złotych plus koszty przesyłki.

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze błędnie podaliśmy drugi numer telefonu, pod którym można uzyskać informacje dotyczące zamówień katalogu strat wojennych malarstwa polskiego. Właściwy numer: **(022) 620 02 31 w. 335**

OTRZYMALIŚMY KATALOGI

ofertowe

• Krakowskiego Antykwariatu Naukowego (31-014 Kraków, ul. św. Tomasza 8, tel./fax 421 21 43). 500 pozycji (książki i czasopisma).
• Antykwarni-Księgarni „Niezależna" (42-217 Częstochowa, ul. Kopernika 4, skr. poczt. 636, tel. 034 324 94 67). 524 pozycje (także karty telefoniczne oraz pocztówki i widokówki).

aukcyjne

• Antykwariatu Naukowego w Krakowie (31-019 Kraków, ul. Floriańska 15, tel./fax 012 422 73 26, tel. 012 429 63 26). 726 pozycji, w tym starodruki, książki XIX- i XX-wieczne, rękopisy, varia, mapy i czasopisma. Aukcję zaplanowano na 6 marca.
• Antykwariatu Naukowego J. Płóciennik i M. Sobczak (90-423 Łódź, ul. Piotrkowska 85, tel./fax 042 633 18 91). 411 pozycji, w tym wydawnictwa ciągłe, druki ulotne i dokumenty, rękopisy, starodruki, wydawnictwa zwarte XIX i XX wieku (historia Polski, varia). Aukcję zaplanowano na 21 marca.
• Krakowskiego Antykwariatu Naukowego – Anna Stecka, Edward Smiłek, Magdalena Stecka (31-014 Kraków, ul. św. Tomasza 8, tel./fax 012 421 21 43). 732 pozycje, w tym wydawnictwa XIX- i XX-wieczne, genealogia i heraldyka, przewodniki, pamiętniki, księgoznawstwo, konie, varia, stare druki, dokumenty, rękopisy, czasopisma. Aukcję zaplanowano na 10 kwietnia.

Nie tylko dla numizmatyków

„CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN NUMIZMATYCZNY"

Ten ciekawy dwumiesięcznik, wydawany przez Stowarzyszenie Archeologiczno-Numizmatyczne im. dra Władysława Terleckiego w Częstochowie, gościł już na naszych łamach. Otrzymaliśmy ostatnio nr 14(39). Można w nim przeczytać m.in. o reformach polskiego pieniądza, medalach i odznakach sił zbrojnych ONZ, o certyfikacie z groszówką, wydanym przez Prezydenta Miasta Krakowa i wręczonym uczestnikom balu sylwestrowego na krakowskim Rynku. W numerze również informacje o spotkaniach, wystawach, jubileuszach itd.

Adres redakcji:
ul. W. Kossaka 26, 42-200 Częstochowa, tel. (034) 365 86 99

„GROSZ"

Kwartalnik PTN Oddziału w Jastrzębiu-Zdroju (patrz „Odkrywca" 8/99) nr 75 proponuje m.in. artykuły „Krzyż i medal za obronę Śląska oraz „Skarb wsi Vanagiai", prezentuje odznakę „strażnika lasowego", podaje informacje o „numizmatycznym Noblu" dla Polaka (o tym także w „Częstochowskim Magazynie Numizmatycznym") i o monecie, która na lutowej giełdzie Warszawskiego Centrum Numizmatycznego osiągnęła rekordową szacunkową cenę wywoławczą: 125 000 zł!

„Groszowi" życzymy długich lat owocnego istnienia i takiejż współpracy z „Odkrywcą".

Zamówienia można kierować pod adresem: Stanisław Łastówka, ul. Malchera 21/3, 44-335 Jastrzębie-Zdrój, tel. 060 337 23 05
Korespondencja (zmiana!): 98-345 Mokrsko, skr. poczt. 3, tel. 060 150 06 62

„GDAŃSKIE ZESZYTY NUMIZMATYCZNE"

W numerze 37 kwartalnika Gdańskiego Oddziału PTN (czasopismo prezentowaliśmy w poprzednim „Odkrywcy") znajdziemy artykuły o mennicy malborskiej w Rzeczypospolitej, o wycofanej serii banknotów „Miasta polskie" w świetle fałszerstw krajowych znaków pieniężnych, a także „Kilka uwag o katalogu Medale mennicy państwowej 1996". Ponadto – uzupełnienie rejestru medali gdańskich oraz informacje o działalności Gdańskiego Oddziału PTN.

Adres redakcji:
81-601 Gdynia, ul. Apollina 38, tel. (058) 621 43 67

Wysyłkowa sprzedaż literatury eksploracyjno-historycznej

Przedsiębiorstwo Wielobranżowe „HiSCO" s.c. poleca:

Pozycje: 1, 9, 10, 12, 18, 27, 29, 30, 34, 35, 41 do 44, 47 – brak.

2. W. Antkowiak – *Nie odkryte skarby. Przewodnik dla poszukiwaczy.* 8,00 zł.
3. *„ARCHEOLOGIA WOJSKOWA".* Nr 5: 8,00 zł / 1 egz.; nr 6: 9,00 zł / 1 egz.
4. W. Bączkowski – *Tajne bronie III Rzeszy.* Seria: „TBiU" nr 166. 8,00 zł.
5. M. Dudziak – *Riese - Tajemnica Gór Sowich.* 13,00 zł.
6. *„EXPLORATOR".* Nr 4: 9,50 zł / 1 egz., nr 6: 12,00 zł / 1egz.
7. *„FORTECA".* Nr 3/97: 8,00 zł; nry: 1/98, 2/98: 9,00 zł / 1 egz.
8. *Fortyfikacja.* Tom I: „O skuteczną ochronę fortyfikacji historycznej". 16,00 zł.
11. *Fortyfikacja.* Tom IV: „Fortyfikacja rosyjska na ziemiach polskich. Stan badań i problemy ochrony". 25,00 zł.
13. B. Johnson – *Sekrety II wojny światowej. Wojna mózgów. Tajne badania naukowe i ich zastosowanie w czasie II wojny światowej.* 29,00 zł.
14. J. Kalarus – *Książ podziemny.* 5,00 zł.
15. J. Kalarus – *Tajemniczy Świat Osówki.* 7,00 zł.
16. J. Kalarus – *Milczące podziemia Walimia.* 5,00 zł.
17. B. Kempski – *Szybowiec/samolot transportowy Me-321/323 „Gigant".* Seria: „TBiU" nr 160. 8,00 zł.
19. T.J. Kowalski – *Samolot myśliwski Messerschmitt Bf-109G.* Seria: „TBiU" nr 181. 8,00 zł.
20. J. Lamparska – *Tajemnice ukrytych skarbów.* 18,00 zł.
21. Cz. Łuczak – *Hermann Goering.* 6,00 zł.
22. Cz. Łuczak – *Arthur Greiser - hitlerowski władca w Wolnym Mieście Gdańsku i w Kraju Warty.* 12,50 zł.
23. J. Miniewicz, B. Perzyk – *Wał Pomorski.* 32,00 zł.
24. J. Miniewicz, B. Perzyk – *Międzyrzecki Rejon Umocniony.* 26,00 zł.
25. A. Pawełek – *Survival. Sztuka przetrwania. Praktyczny przewodnik.* 8,00 zł.
26. A. Sukmanowska i in. – *Tańcząc na wulkanie.* 10,00 zł.
28. J.E. Wilczur – *Ojczyzna nie udziela urlopów. Nie przeminie z wiatrem...* 25,00 zł.
31. R. Wójcik – *Potwory wychodzą z ukrycia.* 14,00 zł.
32. R. Wójcik – *Łowcy skarbów.* 16,00 zł.
33. L.H. Nicholas. *Grabież Europy. Losy dzieł sztuki w Trzeciej Rzeszy i podczas II wojny światowej.* 29,00 zł.
36. J. Lamparska. *Tajemnice, zamki, podziemia. Przewodnik, jakiego nie było.* 22,00 zł.
37. I. Witkowski. *Supertajne bronie Hitlera. Cz. 1. Tajemnica Gór Sowich wyjaśniona.* 23,00 zł.
38. *„ODKRYWCA".* Nry: 4, 5, 6/98, 1(7), 2(8)/99 5,00 zł / 1 egz.
39. Z. Skrok – *Skarby i skorupy. Szkice z archeologii staropolskiej.* 16,00 zł.
40. D.B. Reimann – *Bursztynowa Komnata – fakty i mity.* 17,00 zł.
45. J. Mydlarz – *Samochód terenowy KdF Kuebelwagen.* Seria: „TBiU" nr 182. 8,00 zł.
46. L. Adamczewski – *Konwój do Paradies.* 16,00 zł.
48. R. Cross – *Strącony orzeł. Ostatnie dni Trzeciej Rzeszy.* 21,00 zł.
49. R. Sypek – *Zamki i obiekty warowne (1) – Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Przewodnik turystyczno-historyczny.* Seria: „Zamki i obiekty warowne w Polsce". 30,00 zł.
50. I. Witkowski – *Supertajne bronie Hitlera. Cz. 2.* 21,00 zł.
51. M.J. Battek i in. – *Słownik nazewnictwa krajoznawczego polsko-niemiecki i niemiecko-polski. Śląsk, Ziemia Lubuska, Pomorze, Warmia i Mazury.* 29,00 zł.
52. A. Konieczny – *Śląsk a wojna powietrzna lat 1940 - 1944.* 24,00 zł.
53. J. Cera. *Tajemnice Gór Sowich.* 20,00 zł.
54. T.J. Kowalski – *Samolot myśliwski Messerschmitt Bf-109K.* Seria: „TBiU" nr 184. 8,00 zł.
55. V. Braun – *Kostrzyn: Miasto-twierdza i forty twierdzy pierścieniowej.* Tłumaczenie z języka niemieckiego zeszytu nr 8 z serii „Die Festung". 19,00 zł.
56. P. Rozwadowski – *Polskie armaty przeciwlotnicze 75 mm wz.36/37 oraz 40 mm Bofors.* Seria: „TBiU" nr 183. 8,00 zł.
57. R. Wójcik – *Ukryci świadkowie.* Seria „Tajemnice II wojny światowej". 27,00 zł.
58. A. Łęszczak i in. – *Gmina Lubrza. Przewodnik turystyczny.* 7,00 zł.
59. R. Kaczmarek – *Zamaskowani korsarze Kriegsmarine.* 20,00 zł.
60. K. Brandt – *Heinkel 219 „UHU".* Seria „Samoloty świata" (1). 9,00 zł.
61. J. Palasek – *Amerykańskie pancerniki typu „Iowa" cz. I.* Seria „Okręty świata" (8). 20,00 zł.
62. *„OKRĘTY WOJENNE"* nry: 26, 27, 28: 11,00 zł / 1 egz.; numer specjalny 3/99: 12,00 zł.
63. D. Soczyński – *Wspomnienia rezerwisty.* 11,00 zł,
64. W. Clarke – *Zagubiona fortuna carów.* 32,00 zł.
65. J. Grzegorzewski – *Samolot szturmowy A-4 „Skyhawk".* Seria „TBiU" nr 185. 8,00 zł.
66. I. Witkowski – *Supertajne bronie Hitlera Cz. 3. Geheimprojekt „Chronos".* 27,00 zł.
67. J. Keegan – *Kto był kim w II wojnie światowej. Leksykon.* 25,00 zł.
68. T. Makowski – *Samolot bojowy Tornado. Seria:* „TBiU" nr 178. 8,00 zł.

Wydawnictwa czeskie.

Literatura na temat fortyfikacji z okresu I i II wojny światowej znajdujących się na terenie Czech, Słowacji oraz krajów Europy zachodniej (fortyfikacje belgijskie, linia Maginota, Wał Atlantycki). Publikacje te prezentują wysoki poziom merytoryczny oraz edytorski. Są to pozycje unikalne na rynku polskim, jeśli chodzi o zakres poruszanej tematyki.

Wydawnictwa są bogato ilustrowane, zawierają wiele planów obiektów i podziemi grup warownych, rysunków, przekrojów, map terenu z naniesionymi fortyfikacjami oraz bogatą dokumentację fotograficzną.

ZAMÓWIENIA

Aby otrzymać którąś z wymienionych pozycji, należy wpłacić na poczcie lub w banku odpowiednią sumę **uwzględniającą zwiększenie lub zmniejszenie ceny** (patrz niżej) na następujący numer konta: „HiSCO" s.c., ul. Kościuszki 39/7Ł, 50-011 Wrocław, BSK O/Wrocław, nr 10501575-0502695752.

ZWIĘKSZENIE CENY:

- zamówienie 1 lub 2 pozycji: + 3,50 zł
- zamówienie 3 i więcej pozycji: + 7,00 zł

RABATY:

- Przy zamówieniu na sumę co najmniej 60 zł proszę NIE DOLICZAĆ kwot wymienionych wyżej.
- Ponadto, przy zamówieniu na sumę co najmniej 120 zł, kwotę wpłaty należy POMNIEJSZYĆ dodatkowo o 10%.

Przykład: Zamówienie 130,50 zł, do wpłaty 130,50 zł – 13,05 zł = 117,45 zł.

Zamówienia będą realizowane według kolejności WYŁĄCZNIE po otrzymaniu wpłaty NA KONTO. Na dowodzie wpłaty należy wymienić zamawiane pozycje i podać dokładny adres. Uwaga! Dodatkowe informacje o książkach oraz aktualną ofertę można otrzymać po przesłaniu na adres „HiSCO" s.c. zaadresowanej do siebie koperty (zwrotnej) z naklejonym znaczkiem.

Prowadzimy także sprzedaż hurtową dla firm.

FIRMA „HiSCO" NAWIĄŻE WSPÓŁPRACĘ Z WYDAWCAMI LITERATURY ZWIĄZANEJ Z NASTĘPUJĄCYMI TEMATAMI: EKSPLORACJA OBIEKTÓW NA- I PODZIEMNYCH, ZAGADKI II WOJNY ŚWIATOWEJ, FORTYFIKACJE, POSZUKIWANIA SKARBÓW, MILITARIA, WOJSKOWOŚĆ ITP. LUB TEŻ PRODUCENTAMI INNYCH ATRAKCYJNYCH TOWARÓW.

Osobom, które już skorzystały z naszej oferty, DZIĘKUJEMY, natomiast pozostałych Państwa ZAPRASZAMY do współpracy.

...na wszystkie żywioły!

LM S.A.

wyłączny przedstawiciel

HAIX® – Schuhe GmbH

GORE-TEX® Footwear

Przedsiębiorstwo LM S.A. jest wyłącznym przedstawicielem producenta specjalistycznych butów ochronnych HAIX® – SCHUHE. Firma HAIX®, dzięki zastosowaniu do produkcji obuwia najwyższej jakości materiałów, jest od 50 lat wiodącym producentem na rynku niemieckim.

Professional HAIX® High Tech

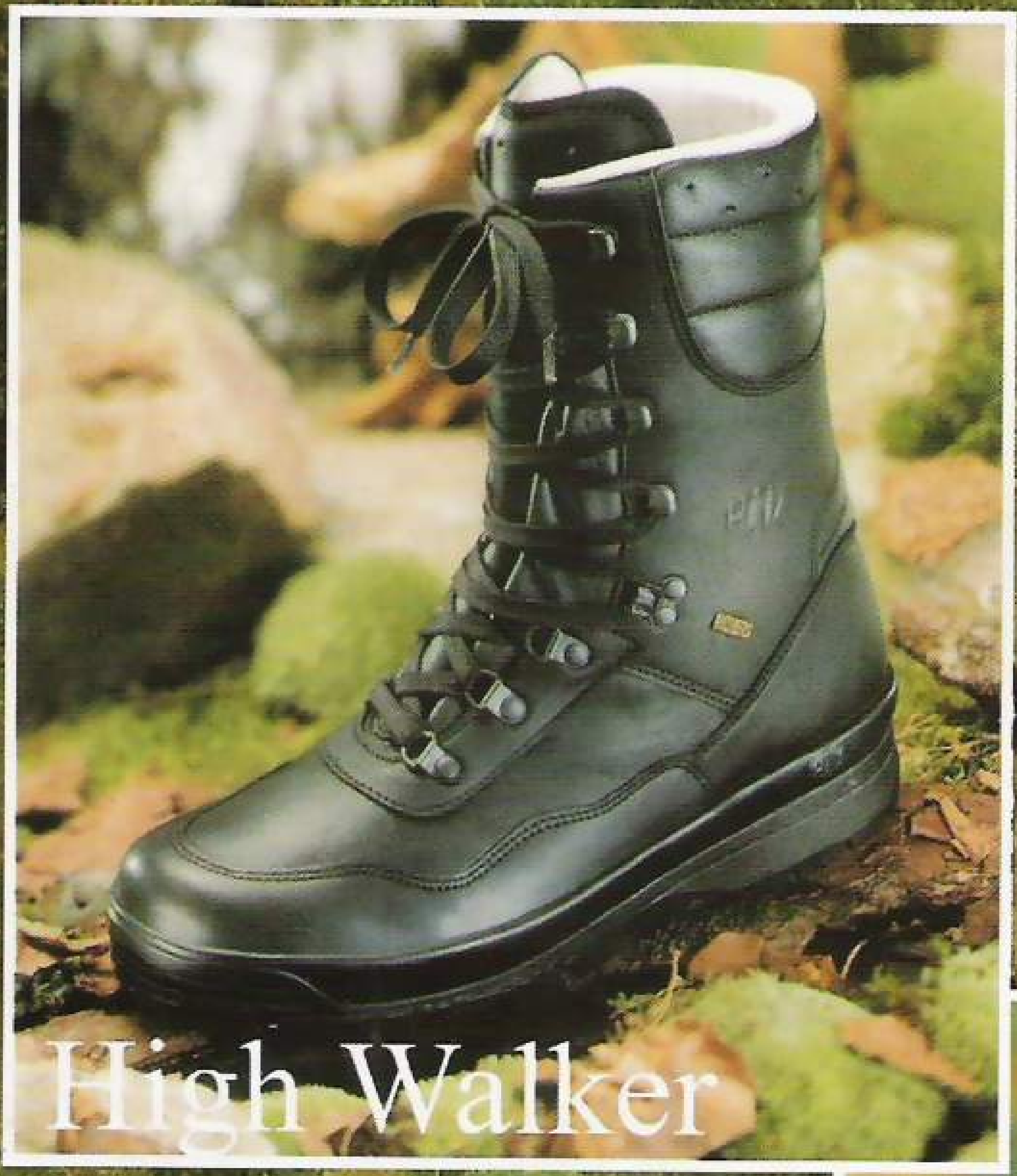

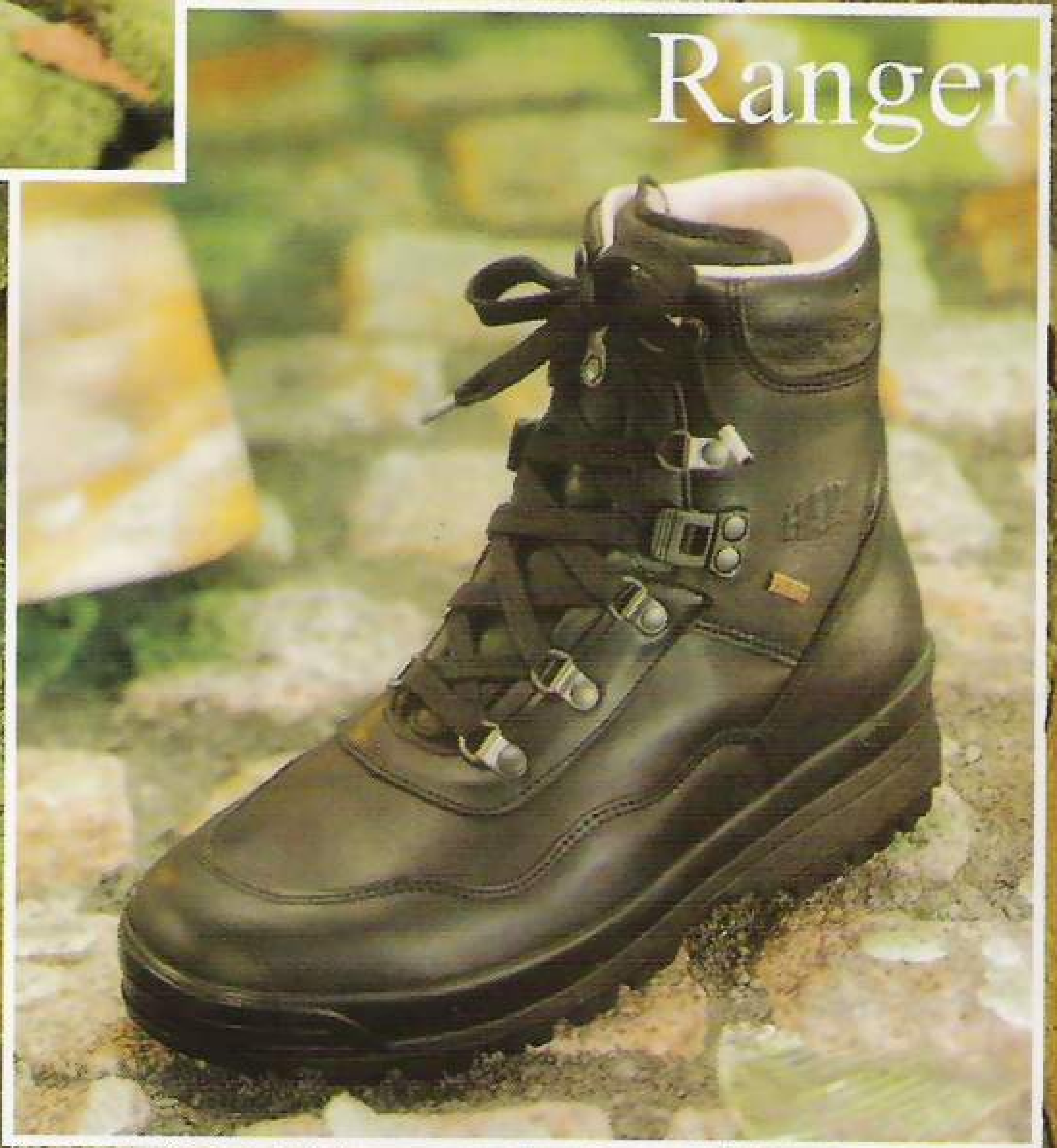

- Skóry wołowe pochodzące ze szwajcarskich i niemieckich garbarni są wolne od środków chemicznych i metali ciężkich szkodliwych dla zdrowia.
- Dla zapewnienia optymalnego komfortu użytkowania buty posiadają membranę klimatyczną GORE-TEX®.
- Podeszwa antyelektrostatyczna, odporna na działanie benzyn i olejów o bardzo dobrej przyczepności, ze specjalną warstwą pianki amortyzującej.
- Sznurowadła z KEVLARU®, nie absorbujące wody i brudu.
- Elementy metalowe odporne na korozję.

Pragniemy zaproponować Państwu wykonane z gładkiej skóry licowanej modele RANGER i HIGH WALKER, które z całą pewnością spełnią wszystkie oczekiwania pokładane w profesjonalnym obuwiu surviwalowym. Doskoskonałe także dla pracowników służb mundurowych.

LM

62-510 Konin, ul. Zakładowa 14
tel. (063) 245 63 08, fax (063) 245 63 09
bezpłatna infolinia techniczna 0-800 162 300
e-mail: bhp@lm.com.pl
http://www.bhp.lm.com.pl